

ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 7-8(68-69) • Lipiec - Sierpień 2011 • Cena 3,00 zł



Kronika roku jubileuszowego

12.06. W Złotorzy przeprowadzone zostały III Międzynarodowe Powiatowe Zawody Sportowo-Pożarnicze Jednostek Ochotniczych Straży Pożarnych z terenu powiatu złotoryjskiego

13.06. Podczas trwających na zamku w Grodźcu prac remontowych natrafiono na zaginioną po wojnie tablicę z piaskowca - pamiątkę po złożonej 9. czerwca 1908 roku wizycie ostatniego niemieckiego cesarza i króla Prus, Wilhelma II

14.06. Wbrew wcześniejszym sugestiom Burmistrza miasta, że „Grzybek” nie powróci, rozpoczął się montaż tego przybytku w rynku.

15.06. Pod kierunkiem Jolanty Zarębskiej Teatr Mimo Wszystko przygotował 15 Jubileuszowe Spotkanie z Piosenką Poetycką.

16.06. Na półce skalnej pod Wilczą Górą znaleziono zwłoki mężczyzny, który prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

16-19.06. Wychowankowie Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach wzięli udział IV Złotoryjskiej Pielgrzymce Rowowej na Jasną Górę. Wyprawę zorganizowali Piotr Kocyla i Jacek Parański.

17-19.06. Po raz 35 odbyły się Dni Świerzawy

18.06. Zespół Wojcieszowianki z Wojcieszowa otrzymał nagrodę główną podczas przeglądu zespołów śpiewaczych i ludowych w Mysłakowicach.

18.06. Ulicami Wojcieszowa przeszedł VI Korowód Radości

18.06. Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała „IV Noc w Bibliotece – szlakiem złotoryjskich legend”.

18-19.06. Ekspłodował II Bieg Szlakiem Wygasłych Wulkanów. Zwycięzcą wśród mężczyzn został Piotr Łobodziński, a wśród kobiet Anna Ficner.

18-19.06 II Festyn Podróżnika (impreza towarzysząca II Biegowi Szlakiem Wygasłych Wulkanów) (TMZZ)

19.06. W kościele NNMP odbył się koncert muzyki cerkiewnej w wykonaniu Chóru Kameralnego Politechniki Wrocławskiej Axion z Legnicy

22.06. W sali widowiskowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbyło się uroczyste pożegnanie uczniów klas trzecich Gimnazjum nr 2 w Złotorzy pod nazwą „Czasem byłem jak motyl”.

22.06. W kościele NNMP w Złotorzy wystąpiła Grupa Mo-Carta.

23.06. W ramach festiwalu „Świat pod Kyczerą” na zamku w Grodźcu wystąpiły zespoły folklorystyczne z Jamajki, Ukrainy oraz Iraku.

23-26.06. Złotoryja gościła najlepszych polskich kolarzy szosowych podczas mistrzostw kraju.

24.06. Zakończył się VIII sezon Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego. I miejsce zdobył Mirosław Kopiński. Drugie miejsce zajął Tomasz Szpiter, a trzecie Henryk Florczak.

24.06. W Prusicach dokonano brutalnego morderstwa z użyciem siekiery. Sprawca został zatrzymany przez policję.

25.06. Po raz XII w Leszczynie odbyły się Dymarki Kaczawskie. Tym razem w nieco skromniejszej formie z uwagi na powstający skansen.

25.06. Dziewiąty rok z kolei pod Wielislawką puszczano wianki i dobrze się bawiono.

25.06. 54 zawodników wystartowało do marszu na 88-kilometrowej trasie Nordic Walking przez Pogórze Kaczawskie. Marsz ukończyło 12 osób. Zwyciężyli ex equo Krzysztof Igielski i Piotr Skowiera.

28.06. W konkursie fotograficznym „Kraina Wygasłych Wulkanów” dwa pierwsze miejsca zdobyli członkowie Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego: Sylwiusz Godyrń i Łukasz Rycąbel. (ZKF)

29.06. W miejskiej Bibliotece Publicznej odbyła się wystawa ekslibrisów Józefa Tadeusza Czosnyki „Motywy winoro-

śli w ekslibrisie”.

30.06. Radni Miejscy uchwaliли absolutorium burmistrzowi Ireneuszowi Żurawskiemu.

31.06. Ogłoszono wyniki tegorocznych matur. Bardzo dobrze na tle ocen ogólnopolskich wypadli abiturienti Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotorzy.

1.07. Polskie Bractwo Kopaczy Złota urządziło bezpłatną szkołę płukania złota.

2.07. Polskie Bractwo Płukaczy Złota zorganizowało w Złotorzy mistrzostwa w płukaniu złota o Puchar Sudetów oraz mistrzostwa o Nagrodę Namiestnika Wielkopolski.

2.07. W Sokolowcu odbył się Festyn Samorządowy „Sprawne Sokoly”.

2.07. W Pradze złotoryjanin Andrzej Kocyla został wicemistrzem Europy w wyciskaniu sztangi leżąc RAW – bez specjalistycznych koszulek.

3.07. Z okazji 60-lecia klubu sportowego Olimpia odbył się w Olszaniczy Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej. Wygrała drużyna Czarni – Burza Rokitti.

10.07. Finał zawodów spadochronowych na celność lądowania o puchar Burmistrza Złotoryi. Zwyciężył reprezentant Złotoryi Tomasz Kaczmarczyk z Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej

12.07. Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji rozpoczął zajęcia dla dzieci w ramach akcji „Lato w mieście”.

16.07. Grand Prix w konkurencji ppn 40 podczas Mistrzostw Polski we Wrocławiu wywalczyła Martyna Pierśniak.

23-24.07. Drużyna GLKS Unia Pielgrzymka wywalczyła trzecie miejsce podczas LX Mistrzostw Polski Juniorek w Łuczniwcu.

23.07. W Lubiechowej, po raz ósmy odbył się Złot Kobiet Czarujących.

23.07. Mateusz Malerćuk na 38 Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej „Kielce 2011” zdobył brązową jodłę.

23.07. Odbyły się IX Mistrzostwa Złotoryi w Siatkówce Piłkowej. Wygrała drużyna Pokemony: Marcin Pokrywka, Marek Maciejewski.

24.07. W przeddzień święta św. Krzysztofa odbyło się poświęcenie pojazdów w złotoryjskich parafiach.

24.07. Wybory uzupełniające do Rady Miejskiej w Złotorzy wygrał, uzyskując 113 głosów Franciszek Słaby.

24.07. Podczas drużynowych mistrzostw Polski seniorów w tenisie ziemnym piąte miejsce wywalczyli tenisисти Złotoryjskiego Towarzystwa Tenisowego.

24.07. TMZZ zorganizowało IV Złotoryjską Pielgrzymkę Drogą św. Jakuba. (TMZZ)

24.07. Z okazji Święta Policji w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się uroczystość, podczas której policjanci z powiatu złotoryjskiego otrzymali odznaczenia, awanse i nagrody.

27.07. W telewizji regionalnej zaprezentowano film o Złotorzy.

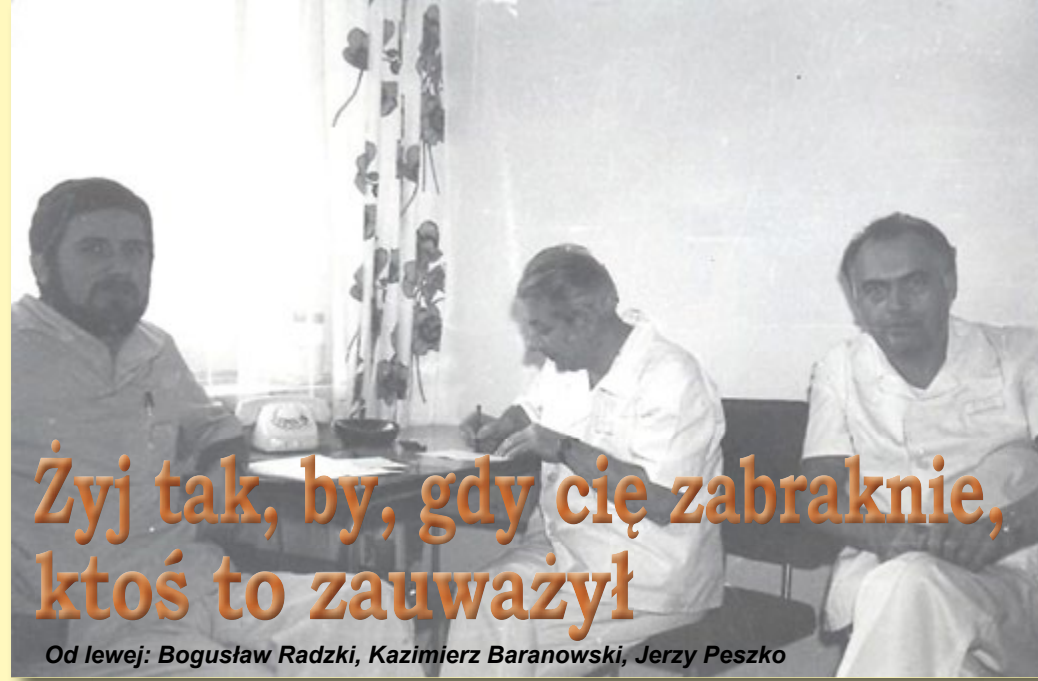
28.07. Na złotoryjskim Rynku zakopano skrzynię z pamiętkami upamiętniającymi obchody 800-lecia Złotoryi.

30-31.07. Na złotoryjskim zalewie rozegrano młodzieżowe mistrzostwa w narciarstwie wodnym. Organizatorem był Klub Żeglarski Reda w Złotorzy.

30.07. Na stadionie Pogoni Świerzawa podczas Letniego Festiwalu Sportowego w Świerzawie odbył się turniej piłki nożnej o puchar Starosty. Zwyciężył Górnik Złotoryja.

6-7.08. Na zamku w Grodźcu oraz w Pielgrzymce odbyła się XVI Międzynarodowa Biesiada Zespołów Kresowych.

6.08. Rada Sołecka, Koło Gospodyń Wiejskich, Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Wsi Rzeszówek oraz Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie zorganizowali V Leśną Biesiadę w Rzeszówku.



Żyj tak, by, gdy cię zabraknie, ktoś to zauważył

Od lewej: Bogusław Radzki, Kazimierz Baranowski, Jerzy Peszko

Kazimierz Baranowski urodził się 1934 roku. Po ukończeniu studiów lekarskich we Wrocławiu przyjechał do Złotoryi i w listopadzie rozpoczął pracę w Przychodni Obwodowej pod kierownictwem lekarza Henryka Borejki. Bardziej jednak interesowała Go praca w szpitalu na oddziale ginekologii i chirurgii. Ostatecznie opowiedział się za chirurgią, której poświęcił swoje życie.

Stanisław Furtan pisał w Medium 2001(pismo medyczne)

„...Różni są ludzie. Różni są też lekarze, którzy się w końcu z tych samych ludzi wywodzą, choć lekarzy jest wielu, to wiadać niektórzy maja coś w sobie, co sprawia, że pamięta o nich znacznie więcej osób, niż grono najbliższych.

...pokazał, że lekarz to coś znacznie więcej niż zawód, dyżur, operacja, więcej niż przysięga.

Pacjent był dla niego kimś więcej, niż kolejnym przypadkiem, wymagającym zabiegu operacyjnego, zresztą, z kim jak, z kim, ale właśnie z pacjentami umiał znaleźć najlepszy język.

Sądzę, że były wartości nadrzędne w Jego życiu. Bo najpierw był dobrym człowiekiem, mężem, ojcem, dopiero później dobrym lekarzem.

Zmienił życie wielu osób, i to nie tylko w medycznym tego słowa znaczeniu. Najlepiej o tym wiedzą Ci, którzy zetknęli się z nim w swoim życiu, ja nie tylko wiele się od niego nauczyłem, ale także wiele zrozumiałem, żeby być dobrym lekarzem trzeba być dobrym człowiekiem...”

Doktor Kazimierz Baranowski marzył, by syn ukończył studia medyczne i tak jak on poświęcił się medycynie.

Marzenie się ziściło. Bartosz jest związany z medycyną a młodszy syn Łukasz ukończył studia medyczne.

Łukasz - Tato zajmował bardzo ważne miejsce w moim życiu, gdybym miał powiedzieć jednym zdaniem to rzekłbym - był dobrym, czułym ojcem. Nigdy nie powiedział, że nie ma czasu lub jest zmęczony, znał wszystkie dziecięce bajki a w lekcjach pomagał mi nawet w ogólniaku. Miał bardzo dobrą pamięć. Tematyka szpitala, operacji, pacjentów towarzyszyła mi od urodzenia. Słuchałem opowiadań

taty. Kiedy zdecydowałem się na medycynę, o czym zdecydowały chyba geny, taty już nie było (na twarzą młodego lekarza pojawił się smutek).Wybrałem ortopedię, dlatego, że szybko widać efekty leczenia. Chciałbym być taki jak mój tata, ale przede mną długa droga.

Jana Kałuza – pielęgniarka - Po ukończonej szkole medycznej w 1979 r rozpocząłem pracę na oddziale chirurgicznym. Przynajmniej nie należała do łatwych. Nadmiar pracy, mało personelu, a przy tym niepewność i strach o życie innych nie opuszczały mnie. Mijały miesiące, a ja uczyłam się fachu pielęgniarstwa. Każdego dnia na oddział trafiali nowi pacjenci z różnymi schorzeniami, cięższymi i z poważnymi. Dyżury były łączone z lekarskimi. Koszmarne były te nocne, i wtedy lubiłam, gdy za oddział był odpowiedzialny doktor Baranowski. Wiedziałam, że żaden pacjent nie zostanie bez pomocy. Nocny telefon nie wprowadzał go w stan irytacji. Często tłumaczył nam zawiłości medycyny prostszym językiem niż naukowy, co było przydatne w pracy. W

wolnych chwilach w pokoju pielęgniarek wypytywał nas o twierdzenie Pitagorasa, o treść lektury czy też o wiersz, który recytował na pamięć, akurat to przerabiał jego syn.

Kiedy się pracowało w Poradni Chirurgicznej z doktorem, dyżury nie należały do nudnych. Pamiętam, jak mnie uczył ściągając paznokcie z podbiegnięciem krwawym - przygotuj zestaw- komenderował- zdezynfekuj pole jodyną, podaj skalpel, (mała lekcja anatomii, szybkim ruch przejechał skalpelem przy naszkórku i płytka paznokciowa została oddzielona od macierzy) -, widzisz, to proste- dodał lekarz –podaj kocher (rodzaj tępych nożyczek nieco zakrzywionych), złapał paznokieć i zdecydowanym ruchem usunął go, założyłam opatrunek i było po wszystkim.- Już umiesz? - zapytał mnie. – Oj, nie!- ja się za to nie biorę, wolę opatrunek założyć - oznajmiłam tylko. Gdybym miała jednym zdaniem opisać doktora, zapamiętałam go, jako człowieka uczynnego, skromnego, kocha-

jącego swoją pracę. Żałuję, że tak szybko odszedł, jednak pamięć o nim i dobre wspomnienia ludzi, którzy szczególnie zawdzięczają mu życie i zdrowie, trwa do dziś.

Krystyna Baranowska - żona : znałam męża od 14 –go roku życia. Mieszkaliśmy w jednym domu. Byliśmy jak jedna rodzina. Moja mama i pani Wiesia(żona Kazimierza) były położnymi, razem pracowały na oddziale położniczym. Panie wspólnie gotowały i piekły. Wspólnie spędzaliśmy różne uroczystości.. Doktor prowadził gabinet ginekologiczny. Po kilkunastu latach nasze drogi się rozeszły. Zmienił mi mieszkanie. W 1973 roku doktor przeżył tragedię, stracił syna Marka, za rok - żonę. Został sam z Bartoszem. To były najgorsze chwile w jego życiu. W 1980 pobraliśmy się. Nigdy nie myślałam, że kiedyś zostanie jego żoną. Mój mąż kochał morze, bardzo chciał być lekarzem - marynarzem, pływać na statkach. Los pokierował inaczej. Prawie każde wakacje spędzaliśmy nad Bałtykiem. Kochał też książki, ale Jego ikoną była książka „Winnetu”, czytał ją, jak był bardzo zmęczony po dyżurach szpitalnych, w chwilach rozterki, do późnych lat wertował jej stronice. Umiał grać na harmonijonie ustnej. Był dobrym mężem. Cieszył się rodziną, angażował się całym sobą w pracy i w domu. Zawsze był z nami. Rozłączyła nas jednak śmierć.

Doktor Barbara Kuczkowska - Nie miałam wiele kontaktów z doktorem, pracując w Pogotowiu Ratunkowym przekazywałam pacjenta na izbę przyjęć gdzie doktor go przejmował. Miałam o nim bardzo dobrą opinię był bardzo uczciwy aż do bólu. Ale czasami myślę, że nie umiał o siebie zawalczyć!

Pan Henryk K. - był częstym pacjentem na oddziale chirurgicznym, miał wrzody żołądka. Znał lekarza Baranowskiego, widział go, przemierzającego sale chorych, długi hol korytarza, na wizytach lekarskich. Cieszył się bardzo dobrą opinią, był lekarzem skrupulatnym, współczującym, rozumiał chorych. Po kilku latach trafiłem z krwawiącym wrzodem, czekała mnie poważna operacja - resekcja żołądka. Operowali mnie chirurdzy. Radykalnie wycięli mi jedną trzecią żołądka. Do zdrowia pomagał mi dojść doktor Baranowski. Od lat stosuję się do jego wskazań i chyba mam się dobrze.

Pieniądże są bardzo ważne w naszym życiu, niektórzy poświęcają im wiele a może i wszystko. Niestety... i dla lekarzy choroba bywa źródłem bogacenia się. W mediach co jakiś czas słyszymy o korupcyjnych działaniach lekarzy. Całe szczęście, że można



Od lewej: Kazimierz Baranowski, Krystyna Wawrzyniak, Bogusław Radzki

znaleźć także lekarzy takich, jakim był Doktor Baranowski.

JANA KAŁUZA
aleksandra.kaluza@wp.pl

Nie wszystko złoto, co się świeci.

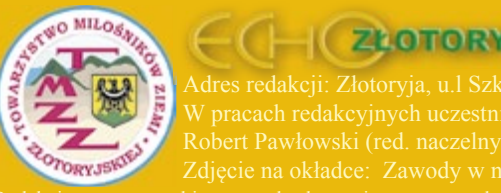
Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku (jak to brzmi!) grupa złotoryjskich zapaleńców postanowiła wypromować nasze miasto, wykorzystując to, co od wieków najbardziej pociągało ludzi. Magii złotego metalu nie mogły się oprzeć ani media, ani tłumy turystów, którzy co roku przybywali na zawody w płukaniu złota. Bez wątpienia był to strzał w dziesiątkę. Sama konkurencja dla laika może nie jest zbyt atrakcyjna, bo cóż w tym widowiskowego, gdy ktoś kręci miską nad kąpą piachu? Tym bardziej trzeba docenić talent marketingowy, wkład pracy i wielki upór w promowanie naszego miasta, jakimi wykazała się i nadal wykazują ludzie skupieni wokół Polskiego Bractwa Kopaczy Złota.

Dzisiaj, w przededniu największej imprezy, która odbędzie się w naszym grodzie w tym roku, trzeba jasno i wyraźnie powiedzieć, że na sukces, jaki niewątpliwie miasto nad Kaczawą w ostatnich latach osiąga - złoto, nawet jeżeli jest tylko wirtualnym sloganem, wpływu ma niebagatelny. Ale czym byłby ten szlachetny kruszec bez ludzi? Bez Jana Kuską, Józefa Zatwardnickiego, pomocy nieżyjącego już Wiesława Chorągwickiego i wszystkich, którzy poknęli bakcyl złotoryjskiego złota?

Przez tydzień nasze miasto będzie centrum światowego ruchu kopcaczy, płukaczy i poszukiwaczy najbardziej pożądanego przez zwykłych śmiertelników metalu. Na pewno nasz 800-letni jubilat w pełni na to zasłużył i jestem pewien, że nie przyniesie nam wstydu.

Nie wiem, czy mentalne pokłady złota wystarczą jeszcze na długo, ale sądzę, że jest to doskonały punkt odbicia dla rodzących się w bólach innych atrakcji naszego regionu: dla wygasłych wulkanów i dla tradycji związanych ze starym zagłębiem miedziowym. Mam natomiast nadzieję, że te trzy bogactwa złotoryjskiej ziemi będą się uzupełniać i wzajemnie inspirować, bo siła tkwi i w tradycji we wspólnym działaniu.

Robert Pawłowski



Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, ul Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Baecalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuza, Agnieszka Młynarczyk, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Zawody w narciarstwie wodnym nad złotoryjskim zalewem - fot. Robert Pawłowski
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.
Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikację nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiegokolwiek formie.
Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy: I - prenumerata miejscowa (odbior w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

Klasyczne poczucie humoru



Pod koniec czerwca w kościele NNMP w Złotoryi koncertował kwartet smyczkowy znany jako grupa MoCarta. Po owacyjnie przyjętym przez złotoryjan występem udało nam się jeszcze przez chwilę zatrzymać muzyków i skłonić do rozmowy, czego efekt prezentujemy poniżej.

Iwona Pawłowska: Jak to się stało, że mamy zaszczyt gościć słynną szczególnie ze srebrnego ekranu Grupę MoCarta w złotoryjskich progach?

Bolesław Błaszczak: Myślę, że to przede wszystkim lobbing mojej siostry ciotecznej – Anny – sprawił, że tu wystąpiliśmy. Mieliśmy być wcześniej, w maju, podczas głównych uroczystości 800-lecia miasta, ale przeszkodził nam w tym wyjazd do Niemiec. Nie mogliśmy przełożyć tamtego koncertu. Ale jesteśmy teraz.

I.P.: Z jakimi wrażeniami schodzili panowie ze sceny po dzisiejszym koncercie?

B.B.: Mieliśmy na początku dość specyficzne uczucia. Występowaliśmy w świątyni, na dodatek katolickiej. W bliskiej obecności świętego sakramentu. To pierwszy taki nasz występ. Już kiedyś mieliśmy okazję grać w kościele, ale była to świątynia protestancka, w której wyzwycaj jest bardziej swobodne zachowanie. Wtedy nawet piłem z pastorem wino przy ołtarzu i było bardzo przyjemnie. Ale to zupełnie inna historia. Tutaj czuliśmy pewną powagę miejsca, baliśmy się też reakcji publiczności, ale w momencie rozpoczęcia koncertu atmosfera się zmieniła i poczuliśmy się jak w sali koncertowej. Książd proboszcz na samym początku zapewnił nas, że Pan Jezus na pewno nie obrazi, bo ma poczucie humoru. Zachęceni takim występem zagraliśmy normalny koncert.

I.P.: Przyglądając się temu, co dzieje się na scenie, zastanawiałam się, czy jest jakiś instrument, na którym panowie nie potrafili zagrać?

B.B.: No cóż, chciałbym, żeby to były nerwy. Niestety, w domach dajemy pokaz wirtuozerii na tym instrumentacie. A jeśli chodzi o inne instrumenty...szukamy, wciąż szukamy. Kolega niedawno opanował grę na pięciece pingpongowej. To wszystko mam przychodzić z nutów. Na tradycyjnych instrumentach gramy od dziecka. Od 7 roku życia. Obowiązkowo zaczynamy od fortepianu. Mamy z sobą próby grania na gitarze, na flecie prostym, ale chcieliśmy wyjść poza te granice. Bawi nas bardzo wydobywanie dźwięków z rzeczy, które są pozornie niemuzyczne. Dziś akurat nie zagraliśmy utworu, w którym jest skrecz. Polega to na drapaniu paznokciami po kurtce i brzmi dokładnie tak jak prawdziwe skreczowanie, czyli pocieranie płyty winylowej przez igłę gramofonu.

I.P.: Mówi pan, że pomysły przychodzą z nutów. Obserwując aktywność grupy MoCarta, zastanawiam się, kiedy znajdując panowie czas na nudę?

B.B.: na próbach. Wtedy szukamy też wszystkiego, co nas bawi, po prostu śmiesz. Wszystko, co pokazujemy na scenie, przychodzi z naszego poczucia humoru, doświadczenia i z...nutów.

I.P.: Na co dzień też mają panowie poczucie humoru.

Michał Sikorski: O to trzeba by zapytać nasze rodziny, ale nie należałoby raczej do ludzi mruklujących czy nieśmiałych. Jesteśmy osobami pogodnymi. Ja już w szkole zorientowałem się, że ogromną przyjemność sprawia mi rozbawianie innych. To było przyczyną wielu nagan i uwag w dzienniczku i moi rodzice nie byli z tego powodu jakoś szczególnie wyrozumiali. Ale cieszę się, że rozbawianie stało się teraz moją pracą i nie dostaję za to nagan.

I.P.: Ktoś pisze panom scenariusz kolejnych koncertów?

M.S.: My sami.

I.P.: Szczepie mówiąc, wygląda to tak, jakby panowie genialnie improwizowali.

M.S.: To dobrze. Nasza ulubiona metoda to opieranie się na kontrastach. Staramy się łączyć nowe ze starym, muzykę klasyczną z popem... Na styku muzyki Mozarta i jazzu czy Bacha i Britney Spears iskrzy. To są takie fajne miejsca, które są naszym polem działania, one wywołują śmiech.

I.P.: Jak odbiera te działania konserwatywne środowisko muzyczne?

M.S.: Na pewno są osoby, które uważają za profanację to, co robimy. Natomiast nasi profesorowie i koledzy ze studiów [Akademii Muzyczna w Warszawie – przyp. I.P.] kibicują nam, są szczęśliwi, że nam się wiedzie, cieszą się, że znaleźliśmy niszę i robimy coś oryginalnego. Wręcz jesteśmy zapraszani do Akademii Muzycznej na koncerty. To jest dla nas wyraz akceptacji tego, co robimy. A my nie kalamy gniazda, z którego wyszliśmy, staramy się trzymać wysoki poziom smaku i kultury osobistej podczas występów.

I.P.: W zamierzony sposób popularyzujecie muzykę klasyczną?

Filip Jaślar: Przyznam szczerze, że nie jest to zamierzone. Po prostu większość kabaretów, grup komediowych, powstaje w czasie studiów w naturalnym środowisku uczelni. Dla nas naturalnym środowiskiem był świat nut, dźwięków, muzyki i dlatego założyliśmy taką grupę, gdzie tworzywem nie jest język, tylko muzyka. Natomiast jeżeli zdarza się tak, że ktoś po koncercie przyjdzie do nas i powie: ciekawe jest to, co panowie zaprezentowali. Idę sprawdzić, jak jest w filharmonii, to ma rolę edukacyjną czy popularyzatorską. Ale to nie jest naszą misją.

I.P.: Ile „kawalków” muzycznych scalają panowie podczas jednego koncertu?

F.J.: Nie liczyłem tego, ale pewnie około stu. Oczywiście musimy to wszystko opanować pamięciowo. Bywa, że asekurujemy się nutami, ale to sporadyczne sytuacje, ponieważ podczas koncertu musimy mieć ze sobą czy z widzami kontakt wzrokowy, gestykulujemy, przemierzamy się, więc nie możemy wpatrywać się w nuty.

I.P.: Gdzie nauczyli się panowie ruchu scenicznego, choreografii, pantomimy? Na pewno nie w Akademii Muzycznej.

Michał Sikorski: Nie jesteśmy mimami. Przynajmniej z wykształcenia. Wszystko to, co udaje nam się zrobić gestem, zawdzięczamy między innymi publiczności, która swoimi reakcjami nas modeluje. Pokazuje, co robimy dobrze, a co nie na zasadzie: reakcja/brak reakcji. Innym naszym miowolnym nauczycielem mimiki był Irek Krosny, z którym spotykaliśmy się sporadycznie podczas pracy nad kilkoma koncertami. Obecnością z nim dało, jak widać, wiele.

I.P.: Świetnie nasładowe pan taniec Michaela Jacksona.

M.S.: To jest choroba z dzieciństwa. Do dziś jestem zakochany w Jacksonie i w jego sposobie bycia na scenie. Potrafił zrobić show, mając do dyspozycji jedynie swoją osobowość. Początkowo jako dzieciak tylko się tym zachwycałem, później zacząłem analizować. Ogólnie rzecz biorąc, lubiłem tańcować. Albo przy własnym telewizorze albo u bogatszych dzieciaków, które miały wideo (Boże, mówię o rzeczach, których już nie ma). Pół klasy wtedy miało „korbę” na punkcie Michaela Jacksona.

na. Tworzyliśmy takie grupki taneczne i się świetnie bawiliśmy. Również na naszej studniówce odtarliśmy ze dwa układy „jacksonowskie” w ramach kultu artysty.

I.P.: Skoro pan już o tym wspomina, pozwól sobie na niedyskretne pytanie: Kiedy miał pan swoją studniówkę?

M.S.: O Boże, to za trudne pytanie. Jakby mnie pani zapytała, kiedy się urodziłem, jeszcze mógłbym na tyle się skupić, żeby odpowiedzieć. Policzymy: 1973 + 19...Właściwie odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych na adres....

I.P.: To teraz łatwiejsze pytanie: kto jest frontmanem Grupy MoCarta?

M.S.: Zawsze ten, który stoi z przodu. Rotacyjnie. Tak, jak pani udzielamy tego wywiadu.

I.P.: Oglądałam kiedyś występ Grupy z towarzyszeniem dzieci. To były osobiste czy wypożyczone?

M.S.: Osobiste. Jak najbardziej. Nasze mocarciatka. Podrosły już od tego czasu i wyglądają prawie jak my. Tylko są od nas młodsze, piękniejsze i mniej zarosnięte. Niedługo planujemy ponowny występ tego typu. Damy koncert w Mrągowie.

I.P.: Na pewno do znużenia pytają panów o nazwę grupy i ja też nie będę oryginalna. Skąd ten Mozart?

Paweł Kowaluk: Z nazwą to jest tak, że jak zaczynałmy zabawę z zespołem w formie kwartetu smyczkowego, to redaktor, pan Edward Mikołajczyk, prowadzący program „Na gapę”, w którym stawaliśmy pierwsze kroki, wymyślił „Grupę Mocarta”. Na początek nam się nie podobała, bo mieliśmy setki, według nas, lepszych propozycji, ale przez szesnaście lat przyzwyczailiśmy się do tej nazwy. Przypuszczam, że z tym Mozartem to było tak, że pierwszym utworem, który zbeczciliśmy artystycznie, był: „Eine kleine Nachtmusik”.

I.P.: Stanowią panowie zgrany kwartet. Przynajmniej tak to wygląda. Na jakiej zasadzie tworzyliście skład grupy? Mam wrażenie, że każdy z panów prezentuje inny typ osobowości, urody i temperamentu.

P.K.: Wszystko się zgadza. Nie było to tak jak w klasycznych boysbandach, że odbywa się casting i szuka się albo ładnie wyglądających, albo nieźle tańczących - na zasadzie: śpiewać nie umiemy, ale ładnie wyglądają. My znaleźliśmy się z Filipem i Arturem (wiolonczelistą, który już niestety nie żyje) od czasów licealnych. Razem chodziliśmy do jednej klasy, na imprezy... dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie, przyjaźniliśmy się. Razem też udało nam się zrobić studniówkowy program kabaretowy...A Michała Sikorskiego Filip z Arturem poznali na kursach muzycznych w Łańcucie, na które jeździli pilnie ćwicząc pod drzewami w parku. Tam właśnie odbył się nasz pierwszy występ „okołokabaretowy” – góralska wersja „Eine kleine Nachtmusik”.

I.P.: Ostatnio nagrywają panowie ze Zbyskiem Zamachowskim. Jak się z nim współpracuje?

P.K.: Oj, słabo, słabo...nie ten poziom...Oczywiście to był żart. Tak naprawdę to cudowna przygoda, zaszczyt i wszystko, co można sobie wymarzyć.

I.P.: To panów słowa oświetla Zamachowskiego czy odwrotnie?

P.K.: Wystarczy spojrzeć po wzroście (znowu żart!). W rzeczywistości my się grzejemy w jego świetle i oby jak najdłużej to trwało.

I.P.: Zdarzyło się panom zagrać koncert, podczas którego widzowie się nie śmiali?

P.K.: Mieliśmy raz takie traumatyczne przeżycie. Graliśmy dla firmy farmaceutycznej, to była impreza korporacyjna i odbywała się... w Budapeszcie. Byliśmy totalnie zaskoczeni, zaczęliśmy się gubić, szamotać... Nie rozumieliśmy nastroju sali, ale potem dowiedzieliśmy się, że przed nami występował jakiś aktor z poważnym repertuarem. Oczywiście po węgiersku. Poprosiliśmy tłumaczkę o wyjaśnienie i okazało się, że czytał wspomnienia z czasów II wojny światowej. Publiczność miała pewien dysonans poznawczy.

I.P.: Jakie wspomnienia zbierają panowie ze Złotoryi?

P.K.: Wspaniałe. Samego miasta co prawda nie widzieliśmy, ale tak to zwykle wygląda w naszych podróżach. Ktoś by mógł pomyśleć, patrząc na kalendarz naszej grupy, że zwiedziliśmy kawał świata. Tak naprawdę widzimy tylko sale koncertowe. I zwykle wspaniałą publiczność.

I.P.: To dokąd teraz?

P.K.: Do domu! Jak najszybciej.

Iwona Pawłowska

Żegnaj ulico Górnicza!

Ulica Górnicza położona jest w malowniczej części Złotoryi – łagodnie wznosi się ku górze, a wzdłuż niej stoją małe domki i duże bloki mieszkalne zamieszkałe kiedyś głównie przez pracowników ZG „Lena” i ZG „Nowy Kościół”. Ładne, prawie jednolite ogrodzenia – teraz wymagające już odnowienia – nawierzchnia z kostki granitowej, a na chodnikach - czerwone głogi kwitnące wiosną, nadawały ulicy piękny, niepowtarzalny charakter. Ulica, jak żadna inna, wpisywała się w historię naszego miasta, była nieodłącznym fragmentem górniczego życia mieszkańców. Dodawała miastu uroku. Po jej wyremontowaniu, z zachowaniem dotychczasowego stylu, cieszyłaby nas jeszcze bardziej i zasługiwała na pokazywanie jej gościom, odwiedzającym nasze miasto, w stopniu co najmniej takim, jak wyremontowany rynek.

Tymczasem w czerwcowym numerze „Gazety Złotoryjskiej” (nr 25 z 22 czerwca 2011) przekazano informację, że ulica Górnicza ma być „gładka”. Kilkudziesięciu mieszkańców ul. Górnicznej uważało, że nawierzchnia wymaga przełożenia kostki granitowej, która służyła nam przez przeszło 60 lat, że widocznie trzeba dokonać remontu instalacji, chodników, ale nawierzchnia powinna być wyłożona kostką jak dotychczas.

Wiadomo nam, że burmistrz ma obowiązek, zgodnie z Uchwałą z 2005 r., przeprowadzić z mieszkańcami konsultacje w ważniejszych sprawach dotyczących miasta. Skierowaliśmy więc pismo do p. Burmistrza Ireneusza Żurawskiego z prośbą o konsultacje i spotkanie w jak najkrótszym czasie ze względu na widoczne tempo postępujących prac. Nie wszyscy zdecydowali się złożyć swój podpis, bo przecież kroki wszystkich mieszkańców miasta od czasu do czasu kierują się do Urzędu Miasta. Strach wziąć górę nad rozsądkiem i rozważać?

Jako „kilkudziesięcioletni mieszkańcy” traktujemy Złotoryję jako swoje miasto, dla którego pracujemy i o którym chcemy rozmawiać.

Niestety, Burmistrz zламаł obowiązujące prawo i nawet w ciągu 30 dni nie odpowiedział na pismo mieszkańców dotyczące remontu ul. Górnicznej.

Chcieliśmy być partnerami dla Burmistrza w sprawach naszego miasta, naszej ulicy. Burmistrz jednak nie szuka partnerów wśród mieszkańców. A szkoda! Czy rzeczywiście nie mógł się z nami spotkać?

Rewitalizacja dróg osiedlowych dotychczas pokrytych asfaltem polega na wymianie starego asfaltu na kostkę granitową – nigdy odwrotnie! Chodzi o to, aby mieszkańcy, a szczególnie dzieci wokół swego miejsca zamieszkania nie miały do czynienia z chemią, z asfaltem ciągle dziurawym, przez co droga staje się niebezpieczna, a właśnie – aby na co dzień mieć kontakt z jezdnią wyłożoną naturalną kostką granitową.

Każdy z nas chciałby kawałek drogi wewnętrznej, jeśli ją ma przed swoim domkiem, wykonać z kostki granitowej. I Złotoryjanie tak robią. I dobrze!

Tej kostki granitowej nie trzeba było znikąd przywozić ani za nią płacić. Ona leżała na ul. Górnicznej! Należało tylko przygotować podłoże i ją ułożyć.

Kto jest autorem tak absurdalnej wymiany kostki na asfalt?

To mieszkańcy ul. Górnicznej oraz Rada Miasta mają moralne, ale też i materialne prawo do dysponowania kostką granitową z ulicy Górnicznej. To część naszej historii. Ta historia mogła jeszcze trwać przez dalsze 60 lat. To ważna dla samorządowców sprawa wymagająca konsultacji społecznej z mieszkańcami. Także na przyszłość.

Nigdy nie pozwolono by sobie na taki „remont” ul. Górnicznej, gdy mieszkańcy tu założyli dawnych zakładów górniczych, zasłużonych dla rozwoju naszego miasta. Ale przecież teraz mieszkańcy tu emeryci tych zakładów ich dzieci oraz wnuki. Dlaczego nie doszło do konsultacji z mieszkańcami?

Zapewne i my – mieszkańcy – nie spisaaliśmy się najlepiej; mogliśmy zjednoczyć się wcześniej w jakimś społecznym proteście. Ba, gdybyśmy w odpowiednim momencie mieli możliwość zetknięcia się ze szczegółami projektu remontu! Zapewne też Rada Miejska mogła zachować się o wiele lepiej i skuteczniej. Czy znała szczegóły projektu? Ale już



najgorzej zachował się ktoś, kto podejmował decyzję o wymianie kostki granitowej na asfalt. Nieświadomie?

Pozostaje pytanie, gdzie wywieziono i zdeponowano około 1400 ton kostki granitowej?

Po zakończeniu remontu i wylaniu asfaltu na pewno ładnie będzie się prezentowała nowa nawierzchnia. Ale jak długo to potrwa? Do pierwszego remontu kanalizacji, do pierwszego wykopu? Czy upiększą chodniki kwitnące wiosną drzewa? Te, które przetrwały lata okupacji niemieckiej, okres pobytu wojsk rosyjskich – a którym nie udało się przetrwać w okresie demokracji. Niestety, nigdy nawierzchnia asfaltowa nie da się porównać z drogą z kostki granitowej.

Żegnaj dotychczasowa ulico Górnicza!

Aleksander Borys

Festyn podróżnika po raz drugi



Również w tym roku w ramach imprez towarzyszących Biegowi Szlakiem Wygasłych Wulkanów zorganizowany został Festyn Podróżnika. Za jego przebieg odpowiadało TMZZ. Blisko sześćdziesięciu wolontariuszy – 24 dorosłych oraz 35 uczniów z Liceum Ogólnokształcącego – dozorowało społecznie od piątku 17. czerwca do niedzieli 19. czerwca kilka ważnych zabytków miasta. Dla uczestników biegu z całej Polski organizatorzy stworzyli możliwość zwiedzenia złotoryjskich atrakcji: kościołów NNMP i św. Jadwigi, Muzeum Złota, Kopalni Złota „Aurelia”, Baszty Kowalskiej oraz Domu Nauczyciela „Bacala-

rus”. Z okazji skończyła większość z sześciuset uczestników „wygasłych wulkanów”. Ku naszej radości spotykaliśmy nawet tych, którzy już po raz drugi

Poznania, Zgierza i Zielonej Góry. Ważne, iż wśród zwiedzających był spora grupa złotoryjan, którzy po raz pierwszy wspięli się na wieżę widokową kościoła Mariackiego lub zwiedzili TMZZ.

Dziękujemy wszystkim wolontariuszom, którzy dla naszej Małej Ojczyzny poświęcili swój czas. Ani dla nas, ani dla naszego miasta nie był on stracony!

Roman Gorzkowski



wzięli udział w zawodach. W księdze pamiątkowej Ośrodka Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej pozostały wpisy zawodników-turystów m.in. z Wejherowa, Gdyni, Włocławka, Chrzanowa, Częstochowy, Warszawy, Gdańska, Łodzi,

Zaczarowana dolina

Widok z Góry Kaplicznej na Dobków

FOT. IWONA PAWŁOWSKA

W odległości 6 km od Świerzawy znajduje się malowniczo położona wieś Dobków. Miejscowość posiadająca jest w tzw. Rowie Świerzawskim u północnego podnóża Pogórza Wojcieszowskiego. Bukownica dzieli wieś na dwa obszary geograficzne.

Lewobrzeżna część Dobkowa zaliczana jest do Gór Kaczawskich, prawobrzeżna - do Pogórza Kaczawskiego. Bukownica jest prawdopodobnie dopływem Kaczawy.

Zabudowa wiejska rozciąga się na wysokości 295 - 390 m n.p.m i sprzyja spacerom. Od strony południowej znajdują się wzgórza: Szeroka, Popielnik oraz Kapliczna.

Szata roślinna jest bardzo zróżnicowana. Lasy są porośnięte świerkiem oraz bukiem. Spotkać można jesion, jawor oraz olsze. Na stokach wzgórz wygrzewają się żmije zygzakowate.

Rys historyczny

Historycznie wieś datowana na 1203r. Był to okres rządów księcia legnickiego Henryka Brodatego (1165-1238). Wybitny władca, dbający o rozwój gospodarczy Śląska. zapoczątkował osadnictwo niemieckie, a co za tym idzie, lokowanie wsi na prawie niemieckim. Głód ziemi na Zachodzie Europy zachęcał do emigracji. Przybywający Niemcy przynieśli ze sobą nowe wzorce uprawy roli, kapitał, ale również rozległe kontakty. Sprzyjało to rozwojowi ziemi śląskiej. W Dobkowie mówimy o gospodarstwach frankońskich. Jest to echo wspomnianych wyżej wydarzeń. Warto dodać, że Frankonia jest dziś częścią Bawarii, a w średniowieczu należała do grona pięciu księstw niemieckich.

Pierwszym sołtysem (zasadzą) był Helmrich. Stąd pierwsza nazwa osady Helmrichsdorf, a od XIX wieku Klein Helmsdorf.

Dobków jest wsią o zabudowie łańcuchowej (leśno-łanowej) oznacza to, że domy posadowione są wzdłuż przebiegającego traktu. Zagroda chłopska znajdowała się na własnym łanie wykarczowanego pola, do którego przylegał obszar leśny.

Zagrody charakteryzuje obszerna zabudowa, często szachulcowa. Szachulec jest bardzo rozpowszechniony w Europie Zachodniej, Alpach, ale również w Sudetach. Jest to typ ściany szkieletowej - drewnianej, której wypełnienie stanowi glina wymieszana z siewką i trocinami. Najczęściej ściana była pomalowana na biało. Nie można nazywać tego rodzaju ścian murem pruskim, gdyż w tym przypadku wypełnienie stanowi cegła.

Dobków należał do dóbr cystersów z Lubiąża. Pozostałością jest kościół św. Idziego.

Analizując dostępne źródła historyczne trudno jest zna-

leż w historii wsi wydarzenia, rzutujące na losy Europy, czy Śląska. Warto jednak przytoczyć kilka z nich:

1241r. Najazd hord mongolskich na Śląsk, być może wieś została dotknięta zniszczeniami, ale niezbitych dowodów brakuje.

1399r. Pierwsza wzmianka o gotyckim kościele.

1428r. Wieś spłądrowana przez husytów.

1617r. Przeor Mateusz podarował dwa dzwony nazwane: Susanna i Catharina. Na dzwonach widniał napis Helmsdorff.

1655r. Wieś obciążona dodatkowymi daninami wynikającymi z tzw. II wojny północnej.

1735 r. Przeor Konstantin Beyer zezwala na przebudowę i rozszerzenie kościoła w stylu prostego baroku.

1796r. 22 dzieci umiera na różyczkę i ospę.

1806r. 29 dzieci umiera na różyczkę i ospę.

1810r. Kończąc się sekularyzacją dóbr kościelnych w Prusach. Powstają w Dobkowie duże gospodarstwa.

1813r. Ostatni etap wojen napoleońskich. Prusy przeprowadzają mobilizację wśród mieszkańców wsi.

1826r. 16 mieszkańców umiera na cholera.

1834r. 554 mieszkańców otrzymuje bierzmowanie.

1845r. Wieś zamieszkała jest przez 1216 mieszkańców, znajdują się 203 domy, 1 szkoła katolicka, 2 młyny, 1 wiatrak, 2 piece wapienne, 3 karczmy, 1 handlarz drewnem, 2 handlarzy zbożem, 7 zajmujących się handlem produktami spożywczymi. Ponadto 74 rzemieślników, 4 krosna na wełnę i dwa na płótno.

1852r. Zakupiono nowy dzwon kościelny. Jest to wspaniałe miejsce edukacji ekologicznej i regionalnej znane również poza granicami Polski. Zakłada się, że około 40% turystów przybywa spoza Polski.

Innym niezwykłym miejscem jest **szlak kapliczek**. Łącznie znajduje się 30 kapliczek i krzyży. Dziwić może tak duże zagęszczenie obiektów sakralnych na niewielkiej przestrzeni. Zastanawiający jest też cel posadowienia w/w obiektów sakralnych. Na pewno są wyrazem szczerzej pobożności dawnych mieszkańców. Warto zaznaczyć, że do 1810r. wieś była zamieszkała przez samych katolików i była wiśnią oazą katolicyzmu. Część kapliczek to wota wdzięczności za otrzymane faski.

Pod względem architektonicznym stanowią ciekawy element wiejskich budowli sakralnych. Po zakończeniu II wojny światowej na wielu kapliczkach pojawiły się polskie napisy.

W kapliczkach znajdują się rzeźby Cierpiącego

Chrystusa, Matki Bożej lub innych świętych. Dziś jest to jedna z atrakcji turystycznych wsi. W 2010r. Urząd Miasta i Gminy Świerzawa realizując projekt: „Remont Świątlicy Wiejskiej na Centrum Kulturalno - Historyczne oraz budowa infrastruktury turystycznej na bazie zabytkowych kapliczek dla rozwoju turystyczno - kulturalnego wsi Dobków”. Pomoc merytoryczną w zakresie opisu kapliczek udzieliło Stowarzyszenie Dobków.

1917r. Wspomniany wyżej dzwon został przetrzepiony na cele wojenne.

1929r. Na wieży kościelnej zamontowano nowy dzwon oraz zegar.

Po 1941r. We wsi przebywają jeńcy francuscy i rosyjscy.

Analizując historię wsi można napotkać informację o sporze, jaki wyniknął między mieszkańcami Dobkowa, a mieszkańcami Lipy. Dziś obie wsie żyją w zgodzie i przynależą do tej samej parafii.

Dobków po II wojnie światowej

Działania wojenne II wojny światowej nie dotknęły wsi. Już w maju 1945r. do Dobkowa przybywają pierwsi Polacy z terenów przedwojennych II Rzeczypospolitej oraz Polski Centralnej. **Od czerwca 1946r. do grudnia 1946r.** ma miejsce przesiedlenie ludności niemieckiej. Szacuje się, że wieś opuściło około 900 mieszkańców, a przybyło około 500 mieszkańców. Rozpoczyna się polski etap zagospodarowywania Chelma, jak początkowo nazywano wieś, a od 1946r. Dobkowa. Przybyła ludność trudniła się uprawą roli oraz pracą w okolicznych zakładach. Dziś coraz bardziej podkreśla się walory turystyczne wsi. Powstała baza noclegowa stworzona przez Urząd Miasta i Gminy Świerzawa oraz gospodarstwa agroturystyczne.

2004r. Ponownie uruchomiono zegar kościelny.

2005r. Wieś została zwodociągowana, w ciągu najbliższych dwóch lat zostanie skanalizowana.

Dziś Dobków jest miejscem, w którym żyją ludzie mający pasję. Wizytówką jest działające od 2005 roku **Ekomuzeum Rzemiosła**. Wytyczony szlak prowadzi przez następujące miejsca:

„Pasięka u Mietka”; „Pasięka Marysia i Spółka” „Villa Greta (agroturystyka)”; „Pasięka-Gibalscy”; „Dom Kultury”; „ Galeria Pod Aniołem”; „ Dobków 96- Pracownia Ceramiki”; „Pracownia Ceramiki Artystycznej i Użytkowej”; „Zorza Poranna (agroturystyka)”; „Pasięka Leśny Smak”; „Świat Gliny”; „Ceramika Świat Gliny”; „Pasięka na Malinowym Wzgórzu”; „Pracownia Hafciarska”.

Ekomuzeum to miejsce niezwykle, nie ma murów, biletów i godzin otwarcia. Na swojej drodze spotykamy ludzi wrażliwych na piękno przyrody i regionalizm. Plan ekomuzeum możemy poznać na stronie internetowej i wydawanych folderach. We wsi widnieje również mapa z wytyczonym szlakiem. Jest to wspaniałe miejsce edukacji ekologicznej i regionalnej znane również poza granicami Polski. Zakłada się, że około 40% turystów przybywa spoza Polski.

Innym niezwykłym miejscem jest **szlak kapliczek**. Łącznie znajduje się 30 kapliczek i krzyży. Dziwić może tak duże zagęszczenie obiektów sakralnych na niewielkiej przestrzeni. Zastanawiający jest też cel posadowienia w/w obiektów sakralnych. Na pewno są wyrazem szczerzej pobożności dawnych mieszkańców. Warto zaznaczyć, że do 1810r. wieś była zamieszkała przez samych katolików i była wiśnią oazą katolicyzmu. Część kapliczek to wota wdzięczności za otrzymane faski.

Pod względem architektonicznym stanowią ciekawy element wiejskich budowli sakralnych. Po zakończeniu II wojny światowej na wielu kapliczkach pojawiły się polskie napisy.

W kapliczkach znajdują się rzeźby Cierpiącego

Chrystusa, Matki Bożej lub innych świętych. Dziś jest to jedna z atrakcji turystycznych wsi. W 2010r. Urząd Miasta i Gminy Świerzawa realizując projekt: „Remont Świątlicy Wiejskiej na Centrum Kulturalno - Historyczne oraz budowa infrastruktury turystycznej na bazie zabytkowych kapliczek dla rozwoju turystyczno - kulturalnego wsi Dobków”. Pomoc merytoryczną w zakresie opisu kapliczek udzieliło Stowarzyszenie Dobków.

Otwarcia nowego szlaku dokonali ówczesny **wicestarosta Józef Sudol** oraz **burmistrz Józef Kolcz**.

100 metrów od agroturystyki „Zorza Poranna” znajduje się punkt widokowy „3 okresy wulkanizmu”. Umieszczona tablica informacyjna wyjaśnia nam geologiczną historię naszego obszaru.

Inne miejsca charakterystyczne dla Dobkowa

Kolejną atrakcją wsi jest **kościół św. Idziego**. Obiekt wzmiankowany po raz pierwszy w roku 1399. Pierwotna budowla gotycka była krótsza niż dzisiejsza. Kamienna wieża została posadowiona przy zachodniej fasadzie. W 1735 przeor Konstantin Beyer zgodził się na rozbudowę kościoła w stylu barokowym. Wschodnia część została przedłużona, a fasada zachodnia została urządzona na nowo. Wieża jest pokryta barokowym hełmem pokrytym łupkiem. Ciekawym elementem są

okna umieszczone nad chórem. W dwóch znajdują się witraże. W prawym jest postać świętego Pawła z napisem: „Poświęcone pamięci poległym w wojnie 1914-1918 bohaterskim synom gminy Dobków. Po lewej stronie jest witraż z wizerunkiem świętego Piotra z napisem: „ Poświęcone pamięci naszemu poległemu 29.06.1917r. Na polu chwały synowi i bratu Josefowi Kobert.

W kościele znajdują się dwa ołtarze. Główny zawiera obraz ze sceną z życia świętego Idziego. Boczny ołtarz zawiera piętę (posąg Matki Bolesnej z ciałem Chrystusa na kolanach). W centralnym punkcie znajduje się obraz przedstawiający świętą Rodzinę z dziećmi Jezus.

O przynależności do cystersów świadczy umieszczony w kościele herb.

Kościół otoczony jest **poniemieckim cmentarzem**. Ciekawostką jest mur wykonany z polnych kamieni. Mogiły zwieńczone były dwumetrowym krzyżem, na którym umieszczano porcelanową tablicę z informacjami o zmarłym.

Plebania została wybudowana w 1875r. i pełniła swoją funkcję do 1946r. Obecnie jest to **Schronisko Młodzieżowe**.

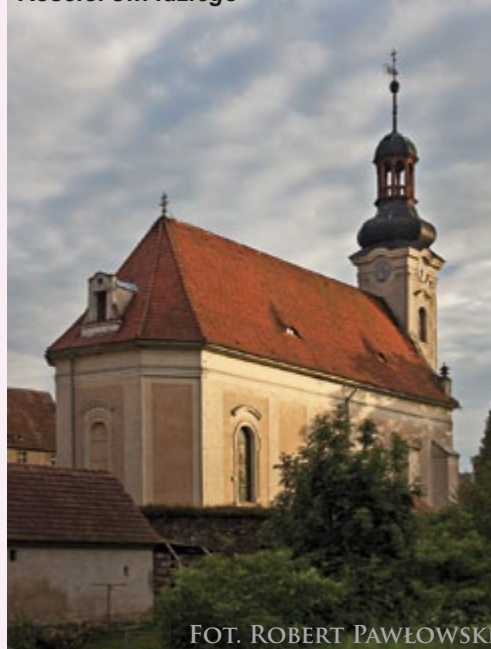
W 2010r. Stowarzyszenie Kaczawskie z pomocą Funduszy Unijnych zakupiło budynek przy sali wiejskiej i realizowany jest projekt „**Sudecka Zagroda Edukacyjna**.”

Wiemy, że w Dobkowie funkcjonowała szkoła katolicka, działała poczta zatrudniająca listonosza. Działały dwa młyny wodne oraz straż pożarna.

Od 1945r. Budowana jest polska tożsamość Dobkowa. Wspaniałe miejsca się historia z teraźniejszością. Na każdym kroku podkreślone są walory turystyczne. Wieś odwiedzana jest przez turystów z różnych części Polski oraz Europy.

W ostatnią sobotę sierpnia w **Sali wiejskiej** oraz

Kościół św. Idziego



FOT. ROBERT PAWŁOWSKI



Sudeckiej Zagrodzie Edukacyjnej odbędą się „**Kaczawskie Warsztaty Artystyczne**”. Będzie wówczas możliwość obejrzenia zdjęć z pierwszych lat powojennych Dobkowa, uczestniczyć w warsztatach, wysłuchać wspomnień mieszkańców Dobkowa.

Kończąc chciałbym

Figura św. Nepomucena



FOT. ROBERT PAWŁOWSKI

podziękować państwu **Ewelinie i Krzysztofowi Rozpędowski** za ciekawą opowieść o Dobkowie. Warto więc odwiedzić **Zaczarowaną Dolinę w Gminie Świerzawa**, aby dotknąć historii i spotkać ludzi z pasją.

Czesław Leśniak

Diabeł w sidłach pod Ostrzycą

Historia ta miała miejsce w zimie 1988 lub 1989. Dokładnie nie pamiętam. Mieszkałem wówczas w Proboszczowie i przy każdej nadarzającej się sposobności włóczyłem się całymi dniami z psem po rozpościerających się tuż za domem rozległych polach i lasach, urozmaiconych malowniczymi wzgórzami, pełnymi odkrywanych co rusz tajemniczych uroczysk. Gdziekolwiek bym się wówczas nie znalazł, zawsze bez trudu odnajdywałem wzrokiem Ostrzycę, majestatycznie wznoszącą się ponad linię krajobrazu jak gigantyczny kopiec. Nigdy potem nie czułem się taki wolny i szczęśliwy jak wtedy, podczas tych długich samotnych wędrówek.

Przez rzekę sąsiedowałem z Rykiem, wiele lat starszym ode mnie emerytowanym dyrektorem szkoły, rolnikiem, pszczelarzem, narciarzem, żeglarzem, stolarzem, wybitnym myśliwym i Bóg wie kim jeszcze. Przez prawie osiem lat tego naszego sąsiedowania bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Było to o tyle niezwykle, że różniło nas niemal wszystko: wiek, charakter czy też szeroko pojęty światopogląd. Mało tego. Riki (bo tak go nazywałem) był od zawsze myśliwym, ba Wielkim Myśliwym, ja zaś miłośnikiem przyrody, stroniącym od wszelkich form zabijania, nawet tego legitymizowanego prawem. Tej jednak fundamentalnej sprzeczności starałem się nie dostrzegać, może dlatego, że Ryśiek w swoich łowieckich pasjach był zawsze ciepły i etyczny. No i pięknie o nich rozprawił, co nieomylnie zdradzało, że przyrodę świetnie zna i po swojemu kocha. Podczas wielu wieczorów toczyliśmy więc zajadłe spory o wyższość własnego „widzenia świata”, zawsze jednak rozstając się w zgodzie.

Któregoś styczniowego dnia wpadłem do Ryśka na pogaduchy przy herbacie z miodem, którą zwykł serwować przy rozpalonym kominku w swoim salonie myśliwskim, obiektem podziwu i zazdrości wszystkich myśliwych, którzy mieli okazję go kiedykolwiek zobaczyć. Nagle, pośród niezliczonej

ilości trofeów myśliwskich, których historię znałem niemal na pamięć, dostrzegłem coś, czego wcześniej tam nie było i co wprawiło mnie w zdumienie. Na ścianie, nad starym pianinem, wisiły małe czarne hakowato wygięte różki. Przyjrzałem się uważniej i zdębiałem. Nie miałem żadnych wątpliwości. Należały do kozicy tatrzańskiej lub alpejskiej - zwierzęcia ściśle chronionego, bardzo rzadkiego, do tego występującego daleko od miejsca, gdzie się mieszkaliśmy. Zapytałem, czy wie, co to jest, i skąd to „coś” ma. Gospodarz potwierdził moje odkrycie i ze spokojem oświadczył, że haki (potoczna nazwa rogów kozicy) spreprował kilka dni wcześniej, a ich niedawna właścicielka wpadła we wnyki w lesie pod Ostrzycą. Znalazł ją tam - ponoć zupełnie przypadkiem - miejscowy obibok, który nie znając tego rzadkiego zwierzęcia, a licząc za to dzwonek „złote” na flaszkę wódki, przyniósł do Ryśka jego głowę, twierdząc, że w sidła złapał się niechybnie jakiś diabeł. Zebrałem myśli. Skąd u licha kozica pod Ostrzycą? Sprawdziłem: w Tatry Wysokie w linii prostej jest 360 km, a w Alpy dobre 550 km. To jakiś nonsens! Ładnych parę wieczorów spędziłem potem wertując wszelką dostępną mi literaturę przyrodniczą, aby wyjaśnić tę tajemniczą zagadkę. Bez skutku. A Ryśiek? Jak to on, zajętym wieloma innymi ważniejszymi sprawami, nawet nie próbował dociec prawdy.

Od tamtego dnia minęło ponad dwadzieścia lat. Bardzo dawno nie mieszkam już w Proboszczowie. Jednak wracałem myślami do tamtego zdarzenia, bezskutecznie usiłując znaleźć jego logiczne wytłumaczenie. Zagadkę rozwikłałem - jak sądzę - dopiero w tym roku, dzięki dobrodziejstwu Internetu. Oto moja hipoteza:

Jeszcze za czasów Austro-Węgier dokonano w Sudetach udanej introdukcji (celowe przeniesienie gatunku przez człowieka w inne miejsce) kozic (*Rupicapra rupicapra*) sprowadzonych z Alp. Pierwszy



raz miało to miejsce w roku 1907 w Górach Łużyckich, po czeskiej stronie Pogórza Zachodnioczeskiego, drugi zaś w 1913 r., w paśmie Jesionika w Sudetach Wschodnich. Oba stworzone wówczas stada, mimo burzliwych losów w swojej 100-letniej historii przetrwały do dziś! Pierwsze liczy sobie około 200 sztuk i wywodziące się z niego małe grupki kozic zapuszczają się czasami w nieodległe Góry Izerskie. Liczebność drugiego stada wynosi około 140 sztuk i niewielka jego część (tzw. kierdel) osiedliła się na stałe w Masywie Śnieżnika, na zboczach Średniaka. Jeśli uwzględnić, że odległość ze Śnieżnika pod Ostrzycę wynosi w linii prostej ok. 130 km (co raczej wyklucza skuteczną migrację), a z Gór Izerskich w to samo miejsce niewiele ponad 40 km, co dla tak sprawnych parzystokopytnych jak kozice nie jest dużym dystansem, najbardziej prawdopodobną staję się hipotezę, że właśnie z tego miejsca przybyła zbłąkana kozica, która dokonała żywota w sidłach pod Ostrzycą, posądzona o diabelskie konotacje przez proboszczowickiego obiboka.

Marek Sarna

Okazały dom przysłupowy



FOT. IWONA PAWŁOWSKA



Panorama z Góry Kaplicznej

FOT. ROBERT PAWŁOWSKI





Wzdłuż rowu przy ul. Grunwaldzkiej pasażerowie krowy. Każdy wolny skrawek ziemi był zagospodarowywany przez rodzinę na potrzeby rogacizny. Często na tym tle dochodziło do konfliktów, bo każdy wiedział dokładnie, gdzie zaczyna i gdzie kończy się jego skrawek zielonego. W każdym domu były jakieś zwierzęta: króliki, owce, kozy, krowy... Łańcuch był krótki. Mały Jasiiek szedł drogą, a krowa skubała sobie powolutku trawę. Mieszkałi wówczas przy placu Sprzymierzeńców, na zapleczu Centrali Ogrodniczo-Nasiennej, dzisiaj jest tam kompleks budynków, w których mieści się sklep meblowy oraz agencja reklamowa. Od ulicy był sklep, gdzie toczyło się życie towarzyskie, wymieniano się najświeższymi informacjami.

- A wie pani, że zwolniono kierownika tartaku? - Niemożliwe, przecież on ma maturę? - Pamiętą tą rozmowę do dziś i przytacza na dowód, jak bardzo wtedy poważano osoby chociażby ze średnim wykształceniem. Śmieje się, gdy wspomina, że jego ojciec uczył zawodu w szkole średniej, a nie miał ukończonych wszystkich klas podstawówki i swoje wojenne braki edukacyjne musiał później uzupełniać na kursach wieczorowych.

Dzienne a zarazem ciekawe to były czasy. Dla jednych czasy dzieciństwa, dla innych zagospodarowywania się na ziemiach, których statusu nie byli pewni. Tutaj historia pojedynczych ludzi zaczyna się od nowa. Nie było przedwojennej i wojennej kartoteki czy choćby mściwej pamięci sąsiadów, szansa ukrycia swojej przeszłości, co do której nowe państwo mogłoby mieć i najczęściej miało zastrzeżenia. W ten świat wkroczył ojciec naszego bohatera, były żołnierz AK, który ukrywając swoją przeszłość przybył ze swojej podrzeszowskiej wsi z grupą szabrowników do Kamiennej Góry. Tam poznał przyszłą żonę, powracającą z robot w Niemczech i tam zdecydowali się już pozostać na ziemiach odzyskanych. Z Kamiennej Góry przeprowadzili się do Nowego Kościola, do siostry ojca, a później do Złotoryi.

W domu były sześcioro rodzeństwa. Jasiiek ze swoją siostrą bliźniaczką byli najmłodszy. Niełatwo było być najmłodszym z czterech braci. Gdy któryś z nich coś zbroił, to Jaśka wskazywano jako winnego. Ubrania i buty nosił po starszym rodzeństwie. Ojciec pracował, matka była w domu, ale na noc chodziła sprzątać wagony. Ojciec, jako człowiek zaradny, wkrótce wybudował przy Grunwaldzkiej jeden z pierwszych w naszym mieście nowy dom jednorodzinny. Cement i pustaki wozili motorem Jawa. Sprzęt niezbędny na budowie pożyczali sobie nawzajem z panem Czczotko, który również budował się w tym czasie na Kopaczu.

W rodzinie kultywowano patriotyczne tradycje. Do dziś dobrze pamiętą scenę, gdy wracając do domu zastał tam nieznanego człowieka, którego matka kazała mu ucałować w rękę, mówiąc: Ten pan walczył za Polskę. Zapamiętał, że człowiek ów, którego imienia wtedy mu nie wyjawiono, miał mały znaczek na swojej sfatygowanej marynarce, miniaturkę orderu Virtuti Militari. Wtedy nie wiedział, co to jest i do dzisiaj jest mu trochę wstyd z tego powodu, ale rękę ucałował.

Śmieje się, że do szkoły miał pod górkę, a po drodze

trzeba było jeszcze przejść przez mostek na Kaczawie. Niby nic niezwykłego, ale dla kogoś, kto miał panicznie wręć lęk wysokości, była to przeszkoda nie do przebycia. Zanim go poskromił na tyle, aby samodzielnie dokonywać przeprawy, przenośiła go mama. W szkole, w piątej klasie, jego siedemnastoletni kolezdy, gdy chcieli mu zabrać drugie śniadanie, przystawiali go do okna na drugim piętrze. Po drodze też można było spotkać starszych kolegów, którzy ze złotówki, którą dostawał na jakieś bułki, zabierali połowę.

Swoich prześladowców zna do dzisiaj i jak twierdzi, jest to jeden z dowodów, że ludzkie postawy są uwarunkowane genetycznie. Dzisiaj ich dzieci nadal żyją aspołecznie, często na koszt miasta, korzystając z komunalnych mieszkań, o które nie dbają, ale które im się należą.

- Inni zaciągają kredyty i potem w pocie czoła je spłacają, a taki dostaje od lokalnej społeczności prezent wart często kilkaset tysięcy złotych. Takie mamy niedoskonałe prawo.

Będąc w latach dziewięćdziesiątych przewodniczącym rady miejskiej, często miał do czynienia właśnie z takimi roszczeniowymi postawami: nic od siebie, ale dajcie mi to, co nam należy, bo jestem niezaradny, z patologicznego środowiska w szóstym pokoleniu i nie chce mi się pracować.

- Z naszych podatków. Z jakiego tytułu my wszyscy mamy za to płacić? - pyta retorycznie.

- Przez trzydzieści lat próbowałem naprawiać po Panu Bogu i to się wiele razy zemściło. Nie da się naprawić po Panu Bogu. Brałem biedne dzieci, z biednych rodzin: wszystko im dawałem, bo jeżeli nie ja, to kto

im da? Dostawali wszystko. Do pewnego momentu pchałem do góry. I oni szli do góry. Już byłem zadowolony. Ale dochodzili do pułapu, gdzie był sufit. Ja ich jeszcze w górę, a oni już nie mogą. Więc obracają się w dół i gryzą palec. Na szczęście były też pozytywne przypadki. I z tym jestem trochę dumny.

Inne wspomnienie z lat dzieciństwa, to sztólnia zalana wodą, po której pływał z kolegami na dętkach, przyswiecając sobie latarkami. Albo boisko przy skrzyżowaniu Leśniczkiej i Chojnowskiej, tam gdzie dzisiaj jest bar Maxim, a gdzie za bramki służyli tornistry ustawione na ulicy. Gdy przejeżdżał samochód, zabierali po prostu tornistry – czasem samochod w ogóle nie przejeżdżał.

Zaczął skakać za spadochronem, by przełamać swój lęk wysokości. Doszedł do wniosku, że albo się zabije, albo będzie spadochroniarzem, albo do końca życia będzie ciąpą. Aby dostać się na kurs spadochronowy do Wrocławia, musiał wygrać konkurs ogłoszony przez ZHP. Skakało się wówczas ze starego nocnego dwupłatowego bombowca Po-2 (CSS-13), który ma dwa miejsca: jedno dla pilota i jedno dla pasażera. Żeby skoczyć, trzeba wydostać się ze swojego miejsca i wyjść na skrzydło. Skrzydła były pokryte płótnem. Bardziej niż samego skoku bał się, żeby nie nadepnąć na płótno, bo mógłby je przerwać. Należało stanąć na specjalnych listewkach i następnie skoczyć. Popularny kukuruźnik pracuje bardzo cicho, więc dobrze usłyszał, jak pilot wrzasnął do niego:

- Sp...j! - Przeszraszył się krzyku i skoczył. - Przy pierwszym skoku człowiek się nie boi. Normalny człowiek nie wie po prostu, co się z nim dzieje. Jest lekko ogupiony. Przy drugim wydaje mu się, że będzie tak samo jak przy pierwszym, ale jest gorzej. Strach zaczyna się między trzecim a piątym skokiem. Człowiek jest urodzony do chodzenia po ziemi a nie skakania.

Młody skoczek najbardziej boi się momentu oddzielenia od samolotu. Stary skoczek martwi się, żeby bezpiecznie wyładować. Z czasem lęk przemienia się w respekt wysokości, bo jak mówi:

- Ziemia przyciąga wszystkich jednakowo, bez względu na stopień i zajmowane stanowisko. Niektórzy o tym nie wiedzieli i boleśnie się przekonali. Później, gdy szkolili innych, bał się, gdy obserwował ich skoki. Wiedział, że jeżeli popełni jakiś błąd podczas szkolenia, to już temu człowiekowi w powietrzu nie pomoże. Gdy szkoli się pilota, jest drugi pilot, który, w razie czego pomoże, a tu od razu wyrzuca się człowiekowi z kawalkiem szmaty „na głęboką wodę”.

Piękno skakania, a właściwie swobodnego opadania przychodzi z czasem. W zależności od egzemplarza staje się to po przekroczeniu ok. sześćdziesięciu skoków. Problem jest wtedy, gdy dzieje się coś nieprzewidzianego: spadochron nie zadziała prawidłowo, tworząc tzw. kichę, albo kalafor lub gdy skoczek zaplączę się w linki. Dzisiaj są już specjalne zamki, żeby wyczepić spadochron głów-

ny i skorzystać z zapasowego. Kiedyś odcinało się nożem. Nazywa się to ratowaniem. Aby się udało, trzeba być wystarczająco wysoko nad ziemią i należeć do grupy ludzi, których sytuacja ekstremalnie mobilizują. Ci, których zagrożenie życia paraliżuje, powinni pozostać na ziemi. Na setki wykonanych skoków ratował się cztery razy. Ostatni raz w Jeżowie. Gdy oddzielił się od samolotu, wiedział, jak w dole jedzie ksiądz proboszcz, który miał ich w ten dzień odwiedzić. Gdy okazało się, że główny spadochron zawiódł, pierwszą myślą było, przecież ma czeki na opłaty za cały obóz. Co gorsze, gdy wypadł już z chmur, zauważył duże rozdarcie czasu zapasu. Mimo ponadprzeciętnej prędkości opadania wyładował szczęśliwie.

Raz na piętnaście tysięcy skoków zdarza się wypadek śmiertelny. Dwoje jego wychowanków zginęło. To statystyka i chociaż nic nie może sobie zarcucić, to jednak oprócz tragedii ludzkiej, jest jeszcze bezduszna procedura komisji lotniczej. Tu nie ma żadnego zlituj się. Liczą się ekspertyzy i kwity. W obu przypadkach zawiódł sprzęt. Ale zanim orzekła o tym komisja, często ludzie ze środowiska lotniczego wydawali krzywdzące wyroki. Musiał sobie z tym jakoś poradzić. Do niedawno w Polsce skakało się na dosyć prymitywnym sprzęcie i braki w ekwipunku nadrabiało się odwagą. Obecnie w użyciu są jednak coraz nowocześniejsze spadochrony, więc i bezpieczeństwo i statystyka się poprawia.

Dawniej kurs spadochronowy trwał trzy tygodnie: tydzień teorii, tydzień szkolenia naziemnego i tydzień skakania. Dzisiaj pierwszego dnia jest teoria, drugiego kurs naziemny a trzeciego skakanie. No bo po co komuś wiedza z zakresu wszystkich przepisów lotniczych, albo meteorologii. Uczy się tylko tych rzeczy, które mają bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo. Gdy szkolono spadochroniarzy pod ewentualne użycie militarne, spadochroniarz musiał być zdrowy i sprawny jak kosmonauta. Złośliwcy mówili, że spadochroniarz nie musi być mądry, spadochroniarzy musi być dużo.

Na początku lat siedemdziesiątych służba wojskowa była czymś nieuniknionym. Świadomy tego, chciał prynajmniej pójść tam, gdzie służba będzie ciekawa, czyli do wojsk powietrzno-desantowych. Pamiętą komisję poborową w gmachu dzisiejszego ZUSu. Major, który wypełniał ankietę spytał go w pewnym momencie:

- Do którejś chodzicie? - Chodzę – odpowiedział. - Nie-cho-dzi –do-ko-ścio-ła – przesyłabizował major wpisując do ankiety. W innym przypadku, nie miał raczej szansy do służby w czerwonych beretach..

Tak trafili, wydawało mu się w pierwszych chwilach, do jednostki powietrzno-desantowej. O tym, jak bardzo się pomylił, przekonał się już na wstępie, gdy rosły kapral włożył mu dwa palce pod brodę i spytał:

- Kocie je...ny, do jakich wojsk przyszedłeś? - Do wojsk powietrznodesantowych - Zanim upadł na ziemię i urwał mu się film po ciosie w żołądek usłyszał tylko: - Do specjalnych!

Wtedy dowiedział się, że czerwone berety niekoniecznie oznaczają wojska desantowe. Nosili jedynie mundury tych wojsk w celu kamuflażu. Oficjalnie byli kompanią z Krakowa przydzieloną do pilnowania jednostki wojsk artyleryjskich. O tym, że jest to utajniona 62. kompania specjalna „Com-mando” wiedzieli niewielu, w tym zapewne wywiad NATO.

Było jak u Hitchcocka – z czasem emocje już tylko rosły. Nie chce oceniać, które wojsko było lepsze, które gorsze – to, w którym służył, po prostu było zupełnie inne. Nawet starzy wojskowi, gdy opowiadali o służbie, patrzą na niego z niedowierzaniem. Jaka była różnica? Miał kolege, który służył w Bolesławcu w tym samym czasie co on, ale w Brygadzie Artylerii. Żeby porozmawiać ze sobą, musieli ukradkiem w nocy podczołwigać się do żywoplotu. Gdyby ktoś zauważył, że rozmawia z zajęcem, miałby przerażenie, żeby nie użyć bardziej dosadnego sformułowania. Oni byli elitą, reszta wojska to były zajęce – ich wróg. Oni na stolówce dostawali syte posiłki, zajęce ledwo strawną breję.

Służba była ciężka, ze stu dwudziestu zdrowych, wysportowanych ludzi po trzech miesiącach zostało dwudziestu trzech. Ci, co odpadali, nie szli jednak do wojsk desantowych, ale do najgorszych jednostek wartowniczych. To była dodatkowa motywacja, żeby dać z siebie wszystko i zostać. Zanim przysła satysfakcja, po drodze czekał na nich jednak pot, ból i upokorzenie.

Po latach oglądał film, który nakręcono na zachodzie o jego jednostce. Były tam sfilimowane z ukrycia ich skoki spadochronowe a nawet poszczególni żołnierze na przepustkach. W tle zaś pojawiał się komentarz: Ci żołnierze są tak wyszkoleni, że gdy padnie rozkaz, bez wahania zabiją własną matkę.

Oczywiście była to przesada, ale prawdą jest, że był to najwyższy sort w wojsku –jednostka, przed którą dowództwo Paktu Północnoatlantyckiego miało duży respekt. Na pewno nie mieli takiego wyposażenia jak żołnierze NATO, ale nadrabiali to znakomitym wykszoleniem. Przede

wszystkim zaś wpojono im, że nie ma rzeczy niemożliwych. Najpierw sprowadzano człowieka, jak mówi, do poziomu listew przypodogowych, a potem kształtowano żołnierza do zadań specjalnych.

W kompanii przeprowadzano różnorakie, nierzadko bardzo niebezpieczne ćwiczenia, w celu wyeliminowania ludzi nieprzydatnych do tego rodzaju służby. Pamiętą, że kiedyś miał zajęcia z „lekką” niedysponowanym oficerem, który strzelał mu za błąsk głowy. Pomyślał wtedy: Taki młody, a muszę umrzeć?

Gdy wychodził na pierwszą przepustkę, czekała na niego dziewczyna. Był już ubrany w wyjściowy mundur, gdy kapral zawołał go do sali walki wręcz, żeby sprawdzić, czy będzie się umiał bić z cywilami:

- No kocie j...ny, atakuj mnie.

Jak dostał z buta, twarz zrobiła się cała sina, więc przepustkę sobie odpuścił. Szkolenie było bardzo brutalne. Książka, która ukazała się o kompanii zawiera, jak mówi, może z 10% tego, co naprawdę się tam działo. O wielu rzeczach nie mówi się publicznie, choćby ze względu na żyjących jeszcze ludzi.

Od młodych żołnierzy wymagano bezwzględne gośluszeństwa. Gdy padał rozkaz, żołnierze szli na trzeci teren. Stacjonująca obok brygada artylerii posiadała uzbrojenie jądrowe. Trzeci teren to była strefa, gdzie można było się dostać tylko za specjalnymi przepustkami. Były wysokie płoty i zasieki, a wartownicy strzelali bez ostrzeżenia. Bywało, że w jednostce starzy żołnierze pod tzw. „wpływem” rozbili samochód i trzeba było wymienić drzwi. Młodzi żołnierze dostawali do ręki klucze – znaczy się narzędzia i rozkaz przyniesienia drzwi ze stojących na trzecim terenie samochodów. Potem była afera u sąsiadów, że ktoś drzwi ukradł i to w dodatku z miejsca najpilniej strzeżonego.

Chciał służyć w wojsku, chciał utrzymać się w jednostce i zostać żołnierzem zawodowym. A jeżeli był już żołnierzem zawodowym, to służyć w porządnym wojsku. Nie wiedział tylko, że to wojsko jest aż tak porządne. Ówczesny dowódca major Zdan dbał o to z niezwykłą starannością.

- To była tak ciekawa służba, gdzie w tamtych latach mógłbym nurkować, skakać, wspinać się, jeździć na nartach? Wszystko, o czym marzyłem – miałem w jednostce. Jednak cena była wysoka.

Można teraz dyskutować, czy zakładanie przez stare wojsko klódek na genitalia, gdy wychodzili młodzi na przepustkę było elementem szkolenia wojskowego, czy też bardziej wyrafinowanym przejawem fali – dodajmy tym weselszym. Dylematy takie może mieć jednak tylko ten, kto nie tyle nie służył w wojsku, ale nie był żołnierzem jednostki specjalnej.

- Działaliśmy według innych regulaminów. Armia nas ogromnie rozbawiła. Na działaniach mogliśmy kraść, wszystkie chwytły były dozwolone - nie mogliśmy się tylko dać złapać, bo w takim przypadku był to już koniec kariery w jednostce specjalnej.

Jednostka była szkolona na wzór sowieckiego specnazu. Uczono żołnierzy cichego zabijania i przetrwania w najgorszych warunkach. W największy mróz. Nierzadko podczas ćwiczeń z tzw. bytowania musieli żywić się tym, co znaleźli w terenie: robakami, kotami, psami, padalcami. Kot smakuje jak królik, pies dobrze wypieczony jak cielęcina. Dobrze gdy była sól. Dzisiaj psy i koty żyją zgodnie na terenie bazy, nie tylko ze sobą, ale i z komendantem.

Zna metody szkolenia specjalnego w zachodnich armiach. - Fajnie jest. Jest deszcz, błoto, dostają wycisk. Godzina 17, koniec zajęć, przysnic, czyste koszulki, piwko. A my jak byliśmy na ćwiczeniach, to wymiana bielizny była raz na dwa tygodnie, śmiali się z nas, że wymieniali się pierwszy pluton z drugim plutonem.

Tam nic nie odbywało się na niby, bo nie mogło, jeżeli w razie konfliktu zbrojnego nie przewidywano powrotu jednostki. Regulamin przewidywał ponadto, że jeżeli grupa specjalna znalazłaby się w okrążeniu, to miała nastąpić samolikwidacja. Nikt z komandosów nie mógł żywy trafić w ręce nieprzyjaciela, musiała nastąpić samolikwidacja. O sposobie jej przeprowadzenia lepiej nie mówić. Gdy słucha się tego dzisiaj, brzmi to jak scenariusz tandetnego filmu z Rambo w roli głównej, ale jak daleko musiela być posunięta ingerencja w sposób myślenia, wychowania, w to, co każdy z nich wierzył? W skrócie nazywa się to praniem mózgu. Czy po czymś takim można normalnie żyć w społeczeństwie? W 1993 r. jednostkę rozwiązano. Ktoś doszedł do wniosku, że jest zorganizowana według struktur specnazu i nie pasuje do wojska w nowej Polsce. Część trafiła do Gromu, część do pułku specjalnego, część do ochrony bogatych ludzi, część do mafii a część odeszła do cywila. Wielu z nich nigdy nie odnalazła się w nowym dla nich środowisku. Jemu jednak los z wojskiem kazał się pożegnać trochę wcześniej – na początku lat osiemdziesiątych w czasie stanu wojennego.

Zanim do tego doszło, służył w wojsku jako żołnierz zawodowy, ale również udzielał się społecznie jako założyciel i komendant Harcerskiego Koła Lotniczego „Tra-

wers”. Dziwny to był twór zwłaszcza jak na czasy, w których powstał. Niby był przy ZHP, ale tak naprawdę wytworzył sobie bardzo dużą autonomię. Gdy pytano ich, skąd są – mówili, że działają przy Aeroklubie, gdy w Aeroklubie dociekano, kto zaccz, mówili, że działają przy ZHP. W rzeczywistości chadzali własnymi ścieżkami. Zajęcia prowadziło często na wzór zacerpnięty z jednostki komandosów, która zresztą pomagała im w sprzęcie i w ludziach. Uważano bowiem, że Trawers skoli potencjalnych kandydatów do wojsk powietrzno-desantowych. Od początku młodzi adeptci spadochroniarstwa szli trochę trawersem, na opak temu, co działo się w Polsce w epoce Gierka. Być może ówczesne władze zmyliło powiązanie z wojskiem, które było naturalnym ramieniem zbrojnym partii. Ale i wojska specjalne rządziły się trochę innymi prawami. Gdy w zwykłym wojsku zajęcia ideologiczne były przedkładane przed szkolenie bojowe, tam było na odwrót. Liczyło się wyszkolenie żołnierzy, nawet za cenę odstępstw ideologicznych. Trudno ocenić w tej chwili, czy było to celowe, czy też po prostu w którymś momencie wymknęło się spod kontroli. Może sprzyjała temu daleko posunięta autonomia kompanii, która miała etat samodzielnego batalionu szczebla armijnego. Ścieżka awansu kończyła się na stopniu kapitana, nie przychodził nikt z zewnątrz. Jednostka była hermetyczna, oparta na ścisłych, wytworzonych podczas ekstremalnej służby więzjach.

- Nie było w kompanii karierowiczów, bo kariery tu nie można było zrobić. Byli za to twardzi faceci z jajami, którzy po prostu chcieli robić coś ciekawego.

Pamiętą, gdy dyskutowano na temat, po której stronie językowej staną, jeżeli w Polsce będą interweniować wojska radzieckie, niewielu z nich miało jakiegokolwiek wątpliwości. Tym zaś, którzy je mieli, pamiętą się to do dziś i niechętnie widzi się na dorocznych spotkaniach komandosów w Bolesławcu.

Ideę wojska polskiego (zwłaszcza tego niepodległego), tradycje I Brygady Spadochronowej były w Trawersie zawsze eksponowane. Przez wiele lat przyjacielem i mentorem Koła był Stefan Karabczyński – żołnierz generała Sosabowskiego. Trawers szkolili, ale przede wszystkim wychowywał. Zbiórki często odbywały się w lesie lub w Jeżowie, z dala od wścibskich oczu. Grupa była zgrana i hermetyczna, więc długo trwała, zanim władze ZHP połapały się, że Koło reprezentuje trochę inny obraz harcerza, niż ten ogólnie przyjęty. Mleko się rozlało, gdy podczas jednego z pochodów pierwszomajowych pod koniec lat siedemdziesiątych, grupa młodych spadochroniarzy, tuż przed trybuną honorową skłęciła i wyszła z pochodu. Dopelnieniem było poświęcenie sztandaru w maju 1980 r. W środowisku partyjnym Złotoryi wrażli. Ówczesne czołowe postacie miasta i oświaty żądały wręcz likwidacji koła i wyciągnięcia konsekwencji wobec kadry oraz usunięcia z ZHP. Na egzekucywie padł wniosek, żeby głównego prowadzyna w trybie natychmiastowym, przy użyciu sił milicyjnych odłączyć od młodzieży. Zdziwiałając jest to, że mimo tych głosów, Koło działało nadal. Może to specyfika Złotoryi, a może zdrowy rozsądek niektórych ludzi, którzy mieli wtedy decydujący głos w tej sprawie – publicznie krzyczeli, a po cichu przyzwalałi?

W czasie stanu wojennego Trawers uprawiał małą dywersję. W połowie grudnia z zajmowanej baszty przy obecnym placu Reymonta (obok USC) ewakuowano i ukryto w jednej z jermzanickich stodół wszystko, co było zabronione Dekretem WRON. Pozostała tylko w piwnicy radiostacja FM, na której podsłuchiwano MO i SB.

Na Staszica był napis „Socjalizm jedyną słuszną drogą narodu polskiego”. Pewnej nocy w czasie stanu wojennego „Socjalizm” został brutalnie odpiłowany. Córka, która nie wiedzieć skąd dowiedziała się o tym, że stoi za tym jej tatuś, nie omieszczała pochwalić się tym w przedszkolu. Co dziwne, informacja nie wydostała się poza mury placówki. Udało im się również spenetrować magazyny ZOMO po Jeleniuj Górze. Potem magazynty spłonęły, ale to już nie ich załuga. Być może sami zomowcy chcieli ukryć braki, które nie tylko za sprawą Trawersu tam powstały.

Ofiarę poniósł w 1982 r., gdy wyrzucano go z wojska z przyczyn politycznych. Nagonka na niego trwała już od dłuższego czasu, a on sam tylko dolewał oliwy do ognia. To na towarzyskim spotkaniu zapytany dlaczego nosi pistolet, odpowiedział, że będzie strzelał do komunistów. Niedługo później pokazano mu w jednostce oficjalne pismo, podpisanie „zaprzysiężnione” drухenki, informujące o treści tej rozmowy. To ostentacyjnie wzięty w mundurze ślub kościelny, na którym wprawdzie nie miał fotografa, ale zdjęcia owszem ktoś zrobił i to całkiem niezłe. Mimo wysokiej autonomii kompanii, widocznie czegoś było już za dużo... Poszedłby na długie lata do więzienia gdyby nie informacja z „Radia Wolna Europa”.

Bardzo przeżył rozstanie z wojskiem. Było to tym dołkliwsze, że otrzymał zakaz pracy w jednostkach dospołeczniowych – przez dwa lata pozostawał bez pracy. Jego i dwójkę malutkich dzieci utrzymywała żona Marianna. Wpierani byli przez państwo Karabczyńskich.

Pierwszy okres po 89 roku, to były lata ciężkiej i niewdzięcznej pracy w samorządzie. Wiele było jeszcze starych nawyków. Ludzie przychodzili z kopertami, by coś załatwić. Przynosili różnorodne legitymacje, powoływali się na znajomości. Twierdzili, że działali w Solidarności i dlatego należą im się mieszkania.

- Pokaż pani tę legitymację – wystawiona dzień wcześniej. Straciłem wtedy wielu kolegów.

Dziwił się wówczas, jak barmusieli być zakonspirowani ci działacze Solidarności, jeżeli nikt wcześniej nie słyszał.

Z tego okresu pamiętą szereg w różnoraki sposób próbowanych przychylnych decyzje, np. w sprawie przysięgi przedzianiu mieszkań komunalnych. Po jakimś czasie zaprzestano tych prób, jednak usunęto go z Komitetu Obywatelskiego „S”. Śmieje się, że zaczęto mówić na niego rumianek, bo ani nie zaskodził, ani nie pomógł.

Na początku lat 90 pojawił się program „małe ojczyzny”. Zaczęto intensywnie myśleć, co mogłoby stać się atutem dla Złotoryi. Na tej kanwie zrodził się pomysł, żeby kopać złoto. Nie wiedział jeszcze wtedy, że istnieją coś takiego jak Światowa Federacja Ptakaczy Złota. W to, że złoto w Złotoryi jest, też nie za bardzo wierzył. Pewnego dnia nad jeden ze złotoryjskich strumieni wybrał się z Józefem Zatwardnickim i Wiesławem Choraǳwickim, ten ostatni udowodnił im, że złoto owszem jest, i że można je wyplukać z piasku. W 1993 r. powstało Polskie Bractwo Kopaczy Złota – organizacja elitarna, bo tworzona przez człowieka, który wśród elit pędzi swoje życie. Z zewnątrz wygląda dosyć tajemniczo i tak ma być.

- Coś, co jest powszechne, łatwo dostępne, bywa często byle jakie – twierdzi.

W Bractwie zasada jest prosta, albo się jest w Bractwie, albo nie jest. Trzeba dać coś z siebie, trzeba się angażować i, co podkreśla śmiejąc się, trzeba bezwzględnie podporządkować się wielkiemu mistrzowi. Czuje się jednak już zmęczonym i myśli o przekazaniu sterów Bractwa młodzieży.

Dzisiaj brzmi to jak anegdota: Podczas mistrzostw w płukaniu złota, gdy jako wypełniacza użyli złotoryjskiego piasku, w trakcie zawodów okazało się, że zawodnicy znajdując dwa razy więcej grudek, niż zostało dosypane do piasku. Wtedy nie było im do śmiechu, bo byli o krok od grubszej kompromitacji. Teraz piasek przywożą spod Jawora, żeby mieć gwarancję, że nie jest zanieczyszczony złotymi drobinami.

Płukanie złota, dla kogoś kto żyje tak intensywnie, może się wydawać zajęciem dosyć nudnym, ale jak zapewnia, podobnie jak chodzenie po bagnach – to wciąga. Nie na tyle jednak, żeby poświęcić się mu kosztem innych zajęć. Przez dużą część życia uczył się, jak zabijać ludzi. To wykształcenie przydaje się znakomicie, gdy trzeba ich ratować.

W 1991 roku rozpoczął formowanie Jednostki-Poszukiwawco Ratowniczej w Złotoryi. W dużej części kadrę stanowili wychowankowie Trawersu. Została utworzona unikalna na skalę krajową, wysoko wyspecjalizowana formacja, której nadrzędnym celem jest ratowanie ludzi. Do 1999 jednostka miała swoją bazę lotniczą w Jeżowie.

Kończyła się właśnie dzierzawa góry szymbowej w Jeżowie. Kiedyś to odludne miejsce, z roku na rok stawało się spacerniakiem dla jeleniogórczan, a oni potrzebowali spokoju. Nie było gdzie strzelać, gdzie wysadzać, latanie też zaczęło okolicznym mieszkańcom przeszkadzać. Teren po byłej kopalni Barytu w Stanisławowie kupili od syndyka w 1999 roku. Zapłacili wówczas 5 groszy za każdy metr kwadratowy powierzchni. Było tu jedno wielkie gruzowisko, pył i czerwone błoto. Syndyk dokonał po prostu rekultywacji w stylu socjalistycznym – przyjechały spychacze i wszystko rozwalili.

Na początku nie podobało mu się tutaj. Wysokie topole hafasowały w nocy na wietrze nie dając zasnąć. Była brzydka jesień, błoto...

- Miałem takiego kapitana z Zakopanego, który przekonywał mnie, że tu jest ładnie.

Patrzył się na niego jak na wariata. On z Podhala i mu się tu podoba? Gdzie ładnie? Kapitan zaprowadził go na wzgórze 442 i pokazał panoramę Gór Kaczawskich i Karconosy. - Zobacz, żadnego śladu człowieka nie widać. Wszystkie budowle są w dolinach. Tylko dzwiczcy teren. A na Podhalu wszędzie domki. Czegoś takiego tam nie ma.

Gdy przybył do Stanisławowa, patrzono na niego podejrzliwie, a nawet z pewną wrogością. Nie wiedziano, kto zaccz. Wszystko owiane było tajemnicą, a koło tajemnic zczynają tworzyć się legendy. Działała jednak magia miejsca. Za czasów kopalni zasiadał tu dyrektor i to był gość.

Ciąg dalszy ze strony 9.

Więc, gdy zasiadł tu komendant, nie się właściwie w tej hierarchii nie zmieniło.

Stanisławów zawsze był na uboczu z dala od cywilizacji. Miał też nie najlepszą opinię. Co w pewnym sensie potwierdziła penetracja jednego z sztybów kopalnianych, w którym znaleźli dwa worki tablic rejestracyjnych. Ale wieś też ma swoją historię. Urodził się tu przed wojną Bruno Bauer – generał Luftwaffe – twórca niemieckich wojsk spadochronowych, rozstrzelany przez Anglików w 1947 r. na Krecie. Podczas drugiej wojny światowej, tu właśnie najdłużej Niemcy walczyli zbrojnie – aż do połowy czerwca 1945 roku.

Gdy była tu kopalnia, cała społeczność osiedla żyła na jej garnuszku. Po likwidacji zakładu, wielu rodzinami zajęła się opieka socjalna. Gdy przychodzą pieniądze z opieki, jest ognisko, alkohol i śpiewy, a pod koniec miesiąca pielgrzymki: Panie komendancie czy coś by pan nie pożyczyl, bo moje dzieci na chleb nie mają. Więc komendant na początku pożyczał.

- Teraz, choć sporadycznie, gdy dzwonią do bramy, nie ma pieniędzy, ale chleb zawsze możemy dać i konserwę dolożyć.

Na początku niektórym mieszkańcom przeszkadzały startujące i lądujące samoloty. Wprawdzie to nie Okęcie i samoloty latają stosunkowo rzadko, a hałas robią mniej niż przejeżdżające samochody, jednak niektórym to się nie podobało. Komuś płytki w łazience odpadły, ktoś inny nie mógł zasnąć. Do Barytu należy teren o powierzchni ponad 14 ha. Pozostałością kopalni są działki, na których mieszkańcy osiedla uprawiali sobie warzywa. Komendant puścił po wiosce listę, żeby mieszkańcy wpisywali się, komu przeszkadzają samoloty. Równocześnie osiedle obiegła plotka, że jednostka będzie zabierać swoje działki. Okazało się wkrótce, że nikomu samoloty nie przeszkadzają.

Dzisiaj wieś i jednostka żyją w przykładnej zgodzie. „Baryt” aktywnie uczestniczy w życiu wsi. Jest współorganizatorem „Święta Barytowych Wzgórz”, które odbywa się pod koniec lipca. W tym roku były wozy bojowe, skoki spadochronowe, zawody strzeleckie, wystawa starych zdjęć Stanisławowa, koncert, sztuczne ognie, grochówka i potańcówka. Było

także wielu zaproszonych gości w tym pani poseł Elżbieta Witek oraz burmistrz Ireneusz Żurawski.

- Na wsi bohaterem można zostać w jeden dzień – mówi. - W mieście trzeba pracować latami, by ktoś człowieka zauważył.

Samych spadochroniarzy wykształcił ponad dwa i pół tysiąca. Jego wychowankowie są w pułku specjalnym, w Gromie, w Formozie, w ABW, ale także w Straży Granicznej, w wojsku, policji i straży pożarnej. Wielkim atutem jest ciągłość pokoleniowa. Jednostka bazuje na czterdziestoletniej już tradycji. Wielu adeptów, to doświadczeni dzisiaj instruktorzy oraz wolontariusze, którzy ochotniczo służą i uczestniczą w różnorodnych akcjach. Tych akcji przeprowadzają rocznie ponad setkę. Są włączeni do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Ponadto zajmują się również szkoleniem lotniczym i wojskowym na zlecenie Ministerstwa Obrony Narodowej. Nie zaniedbują jednak tradycji Trawersu – czyli wychowania i szkolenia młodzieży.

- My tu robimy pewne rzeczy naprawdę i nie możemy sobie pozwolić na bylejakosć. Gdy nie mamy do kogoś zaufania, to tu nawet pięciu minut nie będzie.

Stąd bardzo wysokie wymagania i to nie tylko, jeśli chodzi o sprawność fizyczną, ale również charakter.

Problemem jak zwykle są pieniądze. Stale trzeba o nie walczyć, żeby jednostka mogła normalnie funkcjonować.

Motywacją do działania jest chęć służenia ojczyźnie. Poza tym są to ludzie, którzy chcą być ze sobą, robią coś ciekawego i mają to za darmo. Jest też awans wewnątrz jednostki, są odznaczenia, ale i tak najbardziej liczy się pochwała z ust komendanta i uścisk jego dłoni.

Potrzebne są jednak fundusze na paliwo do samolotów, samochodów operacyjnych i do ambulansu. Duże koszty związane są z przeglądami lotniczymi. Nie mówiąc już o tym, że teren bazy trzeba było zaadaptować do zupełnie nowych warunków. Nieoczekiwana była i jest pomoc władz Żłotori, ale również firm takich chociażby jak GGP Bazalt, czy poznański Condux.

Czy nie ma już dosyć tej ciągłej szarpaniny? Nie tak dawno miał poważne problemy zdrowotne. Obiecał wtedy sobie, że jak wyjdzie z tego, to znacznie wyhamuje. Przestał skakać już wcześniej, wtedy umówił się z Panem Bogiem, że w zamian za to Ten pozwoli mu jeszcze troszeczkę podzielać. Choć ból ma wielki jak widzi spadochrony, obietnicy dotrzymuje.

- Co ja mogę innego zrobić? – zastanawia się głośno. - Siedzę sobie na zasłużonej emeryturze, mogę pić wódkę, mogę łowić ryby. Jeśli z tą wódką to jeszcze jest do zniesienia, to łowienie zupełnie mnie nie pociąga.

Komendant nie rozpamiętuje dawnych czasów, nie trzyma w sobie nienawiści do ludzi, którzy kiedyś tam mu dopieklili, nie zawsze z wysokich pobudek. Idzie do przodu. Co go dziwi?

- Zadziwia mnie ludzka bezwstydnosć. Nie chce mi się opowiadać o rzeczach, które były obrzydliwe. Widzę jednak, że wielu z tych ludzi miewa się całkiem dobrze i niech tak pozostanie.

- Wyleczyłem się natomiast z samorządności. Cieszy mnie za to życie na wsi. Wiadomo, kto jest sołtysem, kto przewodniczącym rady sołeckiej. Wszyscy wszystkich znają, wiadomo, kto kombinuje, kto kradnie, a kto żyje według dziesięciu przykazań. Tu są proste relacje.

Patrząc na komendanta Jana Kuska, siedzącego w fotelu, w swoim gabinecie, zapalającego jednego papierosa po drugim, jakoś nie wierzę w tę deklarację. Za dużo w nim energii – tej pozytywnej, za dużo przekory, żeby cały czas nie robić czegoś dla innych. Tym bardziej, że jest doceniany, o czym świadczą chociażby kwiaty, które dostał od mieszkańców wsi podczas Święta Barytowych Wzgórz, a które pokazuje mimochodem ale i z dumą.

Urodził się 22 lutego. Dzień ten obchodzony jest jako Światowy Dzień Skautingu a zarazem Dzień Myśli Braterskiej. Tego dnia urodził się gen. Baden Powell, niestety również Karol Świerczewski no i oczywiście jego siostra bliźniaczka.

**Robert Pawłowski
z pomocą Iwony Pawłowskiej
i Józefa Banaszka**

zaplanował reżyser. Dzieci grały swobodnie i prawie bez tremy, z dobrą dykcją, miały dobrze opanowane teksty swoich ról.

Mimo, że księżnej Jadwidze ciągle zsuwał się z głowy czepiec z welonem, księżu zbyt duża korona spadała na uszy, a urządzenia z podkładem muzycznym zacinęły się od czasu do czasu, to warta akcja i dowcipne teksty zdominowały wszelkie niedociągnięcia spektaklu, który oglądało się z przyjemnością.

- Jest to inna lekcja historii – twierdzi Kajetan Kukla. - Koncepcja sztuki była od początku taka, żeby dzieci dobrze się bawiły i poczuły tamtą epokę w postaci anegdotycznej. Samo przytaczanie faktów i dat historycznych już do dzieci nie przemawia. Trzeba im dać coś innego, prawdziwego.



FOT. KAJETAN KUKLA

- Występowanie w sztukach to jest frajda – twierdzi Szymon. – My się wspaniale przy tym bawimy. Uważam, że w każdej szkole powinno być takie kółko.

- No i dzięki temu lepiej poznajemy historię naszego miasta – dodaje Patrycja.

Agnieszka Młyńczak

Jak w Bieszczadach



FOT. ROBERT PAWŁOWSKI

Panorama z północnego stoku Okola na dolinę Kaczawy

Jeżeli kiedyś traficie na górę Okole, ale koniecznie pogodnym świtem, to z północnego stoku zobaczycie niezwykły widok. Oto w niewielkiej kotlinie skąpanej w złotorudym blasku wschodzącego słońca snują się mlecznobiałe pasma porannych mgieł. Słoneczny blask zaczyna wydobywać z mroku koronkowe zarysy drzew, a wszystko to otaczają wzgórze z wyraźną rysującą się na horyzoncie okaleczoną sylwetką Wilszej Góry. Wokół cisza i spokój. W samym środku kotliny widać zagadkowy pióropusz dymu



Węgiel drzewny wypala się w stalowych retortach

rozciągający się w długą białą smużkę. Łagodnie wzgórze i ów pióropusz jako żywo przypominają bieszczadzkie klimaty, gdzie w wielu miejscach można zobaczyć widok taki, jak ten.

Najpierw piłą spaliniową trzeba pociąć pnie drzew na równe odcinki mniej więcej długości jednego metra. To łatwe. Teraz wsiąść na wózek widłowy, nabrać ze stosu kilka polan i podjechać do drzwiczek pieca, jak najbliżej. To też łatwe. Teraz już ręcznie każdą kłodę zdjąć z widła wózka, ułożyć we wnętrzu ciasno, jedna na drugiej, aby nie było zbyt dużych przestrzeni. To już nie jest łatwe. Na początku idzie szybko, ale im stos wyższy, tym trudniej wywindować na górę kolejne polano. Słońce grzeje nie miłosiernie, ubranie już dawno przesiąknięte potem. W końcu piec załadowany do samej góry. Mięśnie całego ciała, a zwłaszcza ramion, czują każdy kilogram z półtorej tony ułożonych ręcznie ball. Teraz zamknąć drzwi, uszczelnic je gliną, zmiąć gazetę i podpalić całe to drewno kolejno poprzez sześć luftów u dołu pieca. A teraz przerwa na papierosa. Można chwilę odpocząć.

Parę kilometrów od Lubiechowej, przy samej drodze wijącej się malowniczo wśród pól, stoją porządnie pieczone z grubej stalowej blachy. Dzień i noc wydobywa się z nich pachnący biały dym. Tutaj, zupełnie jak w Bieszczadach, trwa produkcja węgla drzewnego. Służą do tego pieczone zwane retortami, a technologię wypału opracowali polscy naukowcy w latach siedemdziesiątych XX wieku, chociaż ludzkość już dawno umiała wypalać węgiel. To było wtedy, gdy węgiel drzewny był potrzebny do uzyskania metali w dymarkach. Surowcem do produkcji węgla drzewnego jest drewno liściaste: buk, dąb, jesion,

topola.

- Gdy już piec się rozpali, co jakiś czas trzeba wejść na drabinę i sprawdzić długą tyczką od góry. Na dole jest sześć luftów i na górze sześć. W każdy z tych luftów na górę trzeba wetknąć tyczkę i sprawdzić, czy jest miękkie. Jak tyczka dojdzie do ziemi, to znak, że można zacząć uszczelniać. I muszą być specjalne buty. Jakby pani weszła w tych butach, to by się stopiły, taki tam żar – wyjaśnia technolog Artur, jeden z robotników pracujących przy produkcji węgla drzewnego.

- W piecu jest około czterystu stopni Celsjusza, a na zewnątrz - sto pięćdziesiąt. Jakby, nie daj Boże, ktoś potknął się i upadł na piec, to by skórę zostawił na piecu – prezentuje czarny humor Krystian. - No i trzeba uważać, jak się wejdziesz na drabinę, żeby nie spaść. W dymie nic nie widać. Jest robota i trzeba uważać.

Gdy jest pewność, że drewno po-



Artur, jeden z pracowników wypalarni

rzędnie się rozpaliło, górny otwór i wszystkie szpary stalowej retorty należy starannie uszczelnic gliną, a na dole zasypać dodatkowo ziemią, aby do środka nie przedostał się tlen. Mogłoby to spowodować spalanie drewna na popiół. Dym wychodzi dolnymi małymi luftami. Potem i one zostają zamknięte. Teraz przez dwadzieścia cztery godziny trwa faza zwęglania. Gdy dym zmienia się z białego na niebieskawy, oznacza to, że ta faza dobiegła końca. Można piec zalewać wodą. Potrzeba na to około stu litrów wody. Gdy ostygnie, otwiera się drzwiczki i wybiera węgiel najpierw na sito, przesiewa, a potem pakuje do worków.

- Drewno załatwia nasz szef w nadleśnictwie – opowiada Artur, nie chcąc zdradzić nazwy firmy. - I wodę nam też przywozi, bo trzeba i do zagaszania pieców, i do umycia się.

- Bo tu jak diabły jakie wyglądamy – dodaje Krystian. - Tacy czarni.

Pracowników jest czterech, pracują po dwóch na ośmiogodzinnej zmianie. Trzeba też dozorować w nocy, bo całe zgromadzone drewno mogłoby zo-

stać skradzione. Mężczyźni pochodzą stąd, ze Świeżawy i okolic. Do pracy i z pracy wozi ich sam szef.

Artur ma czterdzieści lat i pracuje przy wypalaniu węgla już siedem lat. Przedtem był górnikiem, ale stracił pracę w kopalni. Tu też jest jak w kopalni, węgiel jest, tylko Barbórki nie ma. Robota ciężka i brudna, ale Artur jest z niej zadowolony. Szef jest dobrym człowiekiem, dba o nich, a co najważniejsze, płaci regularnie. Nie można więc narzekać.

- Jestem tu od początku, wszystko budowaliśmy, wyrównywaliśmy teren. Na początku stały tylko dwa piece. Szybko się okazało, że zapotrzebowanie na nasz produkt jest spore, bo węgiel drzewny potrzebny nie tylko do grillowania ale też do uszlachetniania miedzi, do hut w Legnicy. Zaraz stanęły pozostałe piece. Teraz jest ich pięć. Węgiel wypalamy na okrągło, i w deszcz, i w pogodę – opowiada Artur. - Nie ma przerw. Wolne mamy tylko w sobotę po południu, w niedzielę normalnie trzeba pracować.

Krystian, który nie ma jeszcze trzydziestu lat, jest tu od dwóch miesięcy. Twierdzi, że już się nauczył wypalać węgiel. Chociaż robota jest bardzo ciężka, to podoba mu się. Na drugiej zmianie pracuje jego starszy o rok brat.

- Wszyscy wiedzą, jakie stopy węgla drzewnego piętrzą się w dużych marketach. Ale nie wiadomo, ile węgla drzewnego jest w tym węglu – żartuje Artur. - My robimy dobry węgiel, chociaż to tylko manufaktura.

Wypalarnia węgla drzewnego koło Lubiechowej pracuje przez sezon letni. Jesienią piec są wygaszane, drzwiczki stalowych retort zamyka się na kłódki. Plac pustoszeje i jakoś smutno, że już nie unosi się nad nim biały pachnący dym. Ale na wiosnę można znów wdrapać się o świcie na Okole i popatrzyć. Oto w złotorudym blasku wschodzą-



Każdy kłoc drewna Artur i Krystian muszą władować do pieca własnymi rękami

czego słońca, w samym środku kotliny, znów można będzie zobaczyć pióropusz dymu, rozciągający się w długą białą smużkę...

tekst i zdjęcia Agnieszka Młyńczak

AGNIESZKA MEYŃCZAK
mlynczak.aga@gmail.com

Inna lekcja historii



FOT. MBP

Jakoś tak się stało w naszym mieście, że biblioteka miejska coraz częściej bierze na siebie szlachetny ciężar upowszechniania kultury w szerokim tego słowa znaczeniu. I oto tym razem, w roku 800-lecia Żłotori, kilkanaścioro uczniów ze Szkoły Podstawowej Nr 3 im. Henryka Brodatego zainscenizowało dramę *Jak to Henryk Brodaty Złote Miasto zalał* czyli przedstawiono swobodną, uwspółcześnioną interpretację owych wydarzeń z 1211 roku.

Próby do przedstawienia trwały dwa miesiące. - Koło teatralne istnieje w naszej szkole już dziesięć lat i ma spore osiągnięcia – mówi Kajetan Kukla, scenarzysta i reżyser w jednej osobie. Dzieci chętnie biorą udział w tych zajęciach, które nie polegają tyl-

ko na próbach, ale chodzimy na wycieczki zwiedzając zabytki żłotoryskie.

- Na próbach była bardzo fajna atmosfera, chociaż chwilami pan krzyczał. Ale chyba miał rację – opowiada jeden z głównych aktorów, Szymon Komar (IV klasa). - Bardzo chciałem dostać rolę księcia Henryka, chociaż była bardzo długa. Uczyłem się jej podczas prób w szkole. Nie sprawiła mi większych trudności.

- A dla mnie było trudne opanować moją rolę ze względu na taki starodawny język – zwierza się Patrycja Strzemińska (rola księżnej Jadwigi). Marcin Mysyk: - Grałem mnicha, wieśniaka i śpiewaka. Od roku chodzę na zajęcia kółka teatralnego. To kółko założył w naszej szkole pan Kukla. Fajny miałem habit, prawda?

Dekoracja dramy ograniczyła się do planszy ze schematycznym rysunkiem średniowiecznego grodu. Aby nie było wątpliwości, o jaki gród chodzi, opatrzone ją napisem *Żłotorija*. Kostiumy aktorów były również nader schematyczne i oszczędne, jednakowoż można było bez trudu rozpoznać główne postaci tamtych dni, czyli księcia Henryka (po koronie), jego żonę księżną, Jadwigę (po przepisowej szacie średniowiecznej), przedstawiciela duchowieństwa, czyli mnicha w regularnym brunatnym habicie.

Kajetan Kukla – z właściwym sobie humorem wygłosił krótką mowę jako wstęp do właściwego przedstawienia i się zaczęło.

Niewielka wolna przestrzeń między regałami na książki wypełniona była widzami, którzy siedzieli na krzesłach, stali, a nawet siedzieli na podłodze. Publiczność reagowała żywo na dowcipne teksty śmiejąc się i klaszcząc w tych miejscach, które sobie



Projekt finansowany ze środków Unii Europejskiej
w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

Zielona Gmina

Tym razem przedstawiamy atrakcje przyrodnicze, geologiczne oraz geograficzne gminy Złotoryja.



Pod tym względem ta część Ziemi Złotoryjskiej przedstawia się równie ciekawie, jak jej przeszłość historyczna.

Budowa geologiczna, zasoby naturalne, rzeźba terenu

Nizina Legnicka, Pogórze Kaczawskie i Dolina Kaczawy posiadają zróżnicowaną budowę geologiczną. Paleozoik reprezentowany jest np. przez łupki, trzeciorzęd przez ility, piaski i żwiry, czwartorzęd - przez piaski i żwiry. Z mezozoiku pochodzą cechsztyńskie margle miedzionośne, z górnej kredy - piaskowice. Występują również gliny morenowe. O erupcjach wulkanów w trzeciorzędzie świadczą stożki bazaltowe. Niektóre rejonory przykrywają również glinki lessopodobne i utwory wodnolodowcowe.

Jeśli teren gminy podzielić na jednostki morfologiczne: wysoczyzna plejstoceniowa, wzniesienia, dolina Kaczawy oraz doliny boczne, to wysoczyzna wznosi się od około 215 m n.p.m. w części południowej na granicy z Pogórzem Kaczawskim do około 150 m n.p.m. na północy, Pogórze Kaczawskie wznosi się od północy od około 180 m n.p.m. ku południowi, gdzie osiąga około 400 m n.p.m. Dwie ostatnie jednostki, doliny rzek, występują symetrycznie na północ i południe od osi doliny Kaczawy. Najniższy położony punkt na terenie gminy znajduje się na wysokości 150 m n.p.m., a najwyższy położony - 400 m n.p.m.

Bogata przeszłość geologiczna pozostawiła różnorodne bogactwa naturalne, ukryte pod powierzchnią ziemi, a także wpływające na malowniczy krajobraz. Udokumentowane złoża kopalin na terenie gminy to: 1) złoża bazaltu: Kostrza Góra, Kozia Góra, Krzeniów, Wilcza Góra, Prusice Górne, 2) złoża kruszywa naturalnego: Kwiatów, Rzymówka, Wysok, Lubiatów, Podolany, Wysocko. Kruszywo naturalne są to głównie piaski i żwiry.

Eksploatacja kruszywa naturalnego odbywa się metodą odkrywkową, brak jest kopalni głębinowych i odkrywkowych. Choć na obszarze gminy nie stwierdza się istnienia zagrożeń geologicznych, to eksploatacja powoduje degradację środowiska naturalnego. Prowadzi się jednak sukcesywną rekultywację obszarów zdegradowanych. Nie występują na obszarze gminy tereny osuwiskowe.

Klimat

Zima na tym terenie trwa 30-35 dni, ogólna liczba

dni z przymrozkami wynosi 100-120, pokrywa śnieżna zalega 40-55 dni. Okres wegetacyjny wynosi 218 dni. Opady atmosferyczne to ok. 600-800 mm.

Pod względem klimatycznym północny teren gminy zaliczany jest do Regionu Nadodrzańskiego, dla którego średnia roczna temperatura powietrza wynosi powyżej 8,6°C, długość okresu wegetacyjnego wynosi około 220 dni, najwyższą temperaturą średnią charakteryzuje się lipiec (17,5°C - 18,5°C) a najniższą temperaturę średnią posiada styczeń - 1,1°C. Pozostałe tereny należą do Regionu Przedgórze Sudeckiego, dla którego z kolei średnia roczna temperatura powietrza wynosi 7,5°C - 7,8°C, długość okresu wegetacyjnego wynosi 213-217 dni, najwyższą temperaturą średnią charakteryzuje się lipiec: 16,9°C - 17,5°C a najniższą temperaturę średnią posiada styczeń - 1,7°C.

Przeważają wiatry z kierunku zachodniego i południowo-zachodniego.

Wody powierzchniowe i podziemne

Gmina leży w dorzeczu rzeki Kaczawy, która wchodzi w skład dorzecza Odry. Na terenie gminy Kaczawa ma przebieg równoleżnikowy i płynie ku wschodowi. Rzeka ta bierze wody z mniejszych dopływów. Sieć hydrologiczna gminy nie jest bogata, a składają się na nią głównie małe cieki wodne i rowy melioracyjne. Największymi dopływami Kaczawy są Prusicki Potok i Drażnica. Potok Lubiatówka jest dopływem Czarnej. Wysokie stany wody zdarzają się wyłącznie wiosną, gdy topnieją śniegi w Sudetach i latem - wskutek długotrwałych opadów atmosferycznych. Wezbrania w tych okresach są na ogół gwałtowne i krótkotrwałe. Tereny narażone na okresowe zalanie to Wysok, Kopacz, Rokitnica, Kozów i Rzymówka.

Na terenie gminy brak jest dużych naturalnych zbiorników wodnych. Występują tutaj małe stawy i oczka wodne. Jest kilka zbiorników sztucznych - retencyjne w okolicy Świerzawy, wciąż projektowany (?) zbiornik Rzymówka oraz zbiorniki powstałe w wyrobiskach poeksploatacyjnych i staw osadowy kopalni „Lena” (największy zbiornik sztuczny w gminie). Budowa suchego zbiornika Rzymówka jest inwestycją o dużym znaczeniu dla zapewnienia bezpieczeństwa terenów zagrożonych powodzią oraz zamieszkałych tam ludzi. Projektowany zbiornik będzie stanowił również znaczący element osłony przeciwpowodziowej miasta Legnicy i miejscowości położonych w dolinie rzeki Kaczawy, aż po jej ujście. Powódź stulecia z 1997 r. nie powinna się już powtórzyć.

Lasy

Powierzchnia lasów i terenów zadrzewionych na terenie gminy Złotoryja jest znacznie mniejsza niż średnia krajowa. Tereny leśne i zadrzewione zajmują 15,5% powierzchni gminy.

Północna część gminy całkowicie pozbawiona jest terenów leśnych. Roślinność pierwotna występuje

w gminie fragmentarycznie na łąkach, pastwiskach, nieużytkach i w lasach. W północnej części gminy dominuje sosna zwyczajna. Na południu dominują: świerk, dąb, buk, brzoza, i jawor. W obszarze Pogórza Kaczawskiego największe powierzchnie zajmują buczyny, reprezentowane głównie przez żyzną buczynę górską. Wszystkie kompleksy leśne gminy zaliczane są do lasów ochronnych, stanowią tereny o szczególnych walorach turystyczno-wypoczynkowych, są także doskonałe dla myśliwych, obfitujące również w dary lasu w postaci owoców runa.

Rezerwat przyrody nieożywionej „Wilcza Góra”

Utworzony w 1959 r., jest obszarem chronionym ze względu na walory geologiczne, ochronie podlegają dobrze odsłonięte formy trzeciorzędowego wulkanizmu bazaltowego. Obejmuje część bazaltowego wzniesienia Wilkołak, powierzchnia rezerwatu wynosi 1,69 ha. Od strony północnej, wschodniej i południowej teren rezerwatu otoczony jest przez filar ochronny, ustanowiony w celu oddzielenia powierzchni chronionej od terenu czynnego kamieniołomu bazaltu znajdującego się na wschodnim stoku góry.

Na północno-wschodniej ścianie centralnej partii Wilkołaka znajduje się jedna z najpiękniejszych w Polsce i w Europie skalnych róż bazaltowych, w innych miejscach ciekawe słupy bazaltowe.

Przez wiele lat ten rejon posiadał interesujące zbiorowisko roślinności naskalnej, z dużym udziałem paproci. Miały tu swe stanowiska: zanokcica skalna, zanokcica północna, poprotka zwyczajna, orlica pospolita, narecznica samcza, paprotnica kruszka, wietlica samcza i zachyłka Roberta. Obok nich



także rzadko występujące i chronione: buławnik czerwony (storczyk), kruszyna pospolita, napastrnica zwyczajna, ożanka pierzastosieczna, czyściec kosmaty oraz irga zwyczajna. Poza tym stwierdzono tu występowanie dużej grupy gatunków roślin zielnych, takich jak: macierzanka zwyczajna, rozchodnik ostry i wielki, ledioda pospolita, pięciornik pagórkowy, dzwonek pokrzywolistny, jednostronny i szerokolistny, świetlik łąkowy, dziewanna kutnerowata, ostrzeń pospolita, cięciorka pstra, groszek żółty, nostrzyk biały, śnieguliczka biała, karmnik bezpłatkowy, żywokost lekarski, rozspunka bruzdkowata, sit rozpierzchły i skupiony. Gatunki traw i turzyc reprezentowane są przez stokosę miękką, kłosówkę wełniastą, turzycę bladą, pigułkowatą, wczesną oraz bliźniaczą psią trawkę. Ściany skalne rezerwatu i kamieniołomu, a także znajdujące się u ich podnóża stożki usypiskowe, stanowią nowe powierzchnie zasiedlane przez rośliny.



Jerzmanice Zdrój

Klon jawor – Gierałtowiec, w parku podworskim, o obw. 305 cm

Świerk pospolity – Leszczyna, przy leśnej drodze, grupa drzew o obw. 215-275 cm

Buk pospolity – Leszczyna, przy leśnej drodze, o obw. 410 cm

Buk pospolity – Leszczyna, przy leśnej drodze, o obw. 310 cm

Buk pospolity – Leszczyna, przy leśnej drodze, o obw. 120-285 cm

Buk pospolity – Wilków, przy leśnej drodze przed Wilkowem, o obw. 280 cm

Wyrobisko po eksploatacji rud metali – Leszczyna

Spod rezerwatu rozciągają się interesujące widoki na znaczną część Pogórza i Gór Kaczawskich, Karkonosze, a także Nizinę Śląską.

Park Krajobrazowy „Chelmy”

Utworzony w 1992 r. Całkowita powierzchnia parku wynosi 159,99 km², a otuliny 124,7 km². W jego otulinie leży wieś Leszczyna.

W Parku Krajobrazowym „Chelmy” rosną aż 44 gatunki roślin naczyniowych, chronionych w Polsce, z których wiele posiada swoje jedyne stanowiska w byłym województwie legnickim. Spośród roślin niższych odnotowano tu stanowiska 48 gatunków śluzowców, 18 gatunków wątrobowców oraz aż 178 gatunków i form mchów. Dotychczas stwierdzono 31 gatunków pod ochroną ścisłą oraz 10 gatunków podlegających ochronie częściowej. Są to: śniedek baldaszkowaty, wiciokrzew pomorski, lilia złotogłów, wawrzynek wilczyłyk, śnieżyca wiosenna, jarzab szwedzki, mieczyk dachówkowaty, gnidosz rozestany, kruszczyk szerokolistny, kruszczyk błotny, bniec czerwony, przenet purpurowy, wiechlina odległogłowska, miodownik melisowaty, starzec kędzierzawy i wiele innych. Na terenie Parku występuje zróżnicowana i bogata fauna. Z bezkręgowców na uwagę zasługują pająki, których stwierdzono tu 61 gatunków oraz ślimaki, reprezentowane przez 72 gatunki z 15 grup zoogeograficznych. Spośród bezkręgowców najciekawszy jest minóg strumieniowy, wpisany do *Polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt* oraz salamandra plamista.



Pomniki przyrody (wybrane)

Ściana skalna – Krucze Skały, ciekawe formy piaskowca, obok pozostałości po kamieniołomie –

Lipa drobnolistna – Leszczyna, na skarpie przy drodze, grupa drzew o obw. 260-310 cm

Aleja drzew – szpaler modrzewia europejskiego – Leszczyna, na skarpie przy drodze, o obw. 260-300 cm

Buk pospolity – Leszczyna, na skarpie przy drodze, o obw. 300 cm

Cis pospolity – Wilków, na terenie posesji, o obw. 148 cm



Aleja drzew – kasztanowiec biały – Leszczyna, w parku podworskim, o obw. 154-330 cm

Buk pospolity – Leśnictwo Wilków, na stoku leśnym, o obw. 380 cm

Wiąz górski – Leśnictwo Wilków, w pobliżu stawu rybnego, o obw. 355 cm

Świerk pospolity – Leśnictwo Wilków, w pobliżu stawu rybnego, o obw. 320 cm

Klon jawor – Leśnictwo Wilków, w pobliżu stawu rybnego, o obw. 320 cm

Buk pospolity – przy leśnej drodze, Nadleśnictwo Złotoryja, grupa drzew o obw. 260-320 cm

Skupisko 45 szt. drzew z bluszczem pospolitym – Leszczyna.

Pomniki przyrody nieożywionej

1) Jaskinie pseudokrasowe: „Wilcza”, „Niedźwiedzia”, „Wodospad” – na prawym, skalistym zboczu doliny Drażnicy, powstały w wyniku procesów sufozycznych oraz selektywnego oddziaływania czynników wietrzenia. Na przełomie zimy i wiosny w Niedźwiedziej Jamie i Wodospadzie występują interesujące formy nacieków lodowych.

2) Kamieniołom „Ciche Szczęście” – Leszczyna

Użytki ekologiczne

Utworzony został użytek ekologiczny „Lena” o powierzchni 12,82 ha. Jest to obszar oczek wodnych z przyległymi terenami szuwarowo-zaroślowymi o powierzchni 12,82 ha, położony w okolicy byłej kopalni Lena w Wilkowie. Celem ochrony jest zachowanie zbiorników wodnych z bogactwem zespołów roślinnych szuwarowych, wierzbowych, lasów mieszanych oraz licznych gatunków chronionej fauny i flory.

Ścieżki przyrodniczo-kulturowe

Na terenie gminy, z inicjatywy głównie Nadleśnictwa w Złotoryi, Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej oraz Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych, wytyczono następujące ścieżki przyrodniczo-kulturowe:

1) „Synklina Leszczyny”. Obserwujemy unikalne gatunki roślin, zgłębiamy wiedzę na temat kwitnącego tutaj niegdyś górnictwa i hutnictwa miedzi (m.in. stare wyrobiska, kamieniołomy oraz piec wapiennicze).

2) „Żelazny Krzyż” w pobliżu Wilkowa: ciekawe formy zalesienia, stary pomnik i tajemniczy żelazny krzyż.

3) Ścieżka historyczno-przyrodnicza „Zamkowe wzgórze” w Rokitnicy: ruiny zamku książąt piastowskich, fosy zamkowe, źródło św. Jadwigi, roślinność.

Zabytkowe parki

Parki wpisane do rejestru zabytków:

1) Gierałtowiec – park pałacowy o pow. 1,1 ha, pochodzący z drugiej połowy XIX w.

2) Kwiatów – park pałacowy o pow. 9,8 ha, pochodzący z XIX w.

3) Lubiatów Dolny – park pałacowy o pow. 1,6 ha, pochodzący z XIX w.

4) Lubiatów Średni – park pałacowy o pow. 6,8 ha, pochodzący z drugiej połowy XIX w.

Natura 2000

Specjalny Obszar Ochrony „Góry i Pogórze Kaczawskie” – PLH020037 potencjalny specjalny obszar ochrony siedlisk, którego część jest zlokalizowana w południowo – wschodniej części gminy. Stwierdzono tu 24 typy siedlisk, szczególnie dobrze zachowane buczyny i jaworzyny oraz 19 cennych gatunków, bogata flora roślin naczyniowych. Występują tu m.in. ginący mieczyk błotny oraz zanokcica serpentynowa i włosocień cienisty. Na opisywanym terenie obejmuje Park Krajobrazowy „Chelmy”, użytek ekologiczny „Lena”, rezerwat przyrody „Wilcza Góra” oraz Krucze Skały.

Gmina wiejska Złotoryja przyciąga także poszukiwaczy **minerałów** oraz miłośników **wspinalczki skałkowej**. Szczególnie obficie występują tutaj złoża agatów, natomiast skalni alpiniści znajdą dla siebie dogodne miejsca w Jerzmanicach – Zdroju na ścianach Kruczych Skał, jak też położonym w lesie nad Dymarkami dawnym wyrobiskiem wapienia w Leszczynie.

Paweł Buniowski



Dziękujemy serdecznie za pomoc w zgromadzeniu odpowiednich materiałów do niniejszego tekstu Pani Elżbiecie Dudek z Nadleśnictwa złotoryjskiego oraz Panu Krzysztofowi Kielarowi z Urzędu Gminy Złotoryja.

Tradycje

Złotoryjskie kroniki dotyczą tym razem znanemu już Czytelnikom projektu **Razem przez 800 lat**, a więc poświęcone są terenom gminy Złotoryja. Jest to zarazem ostatnia, czyli piąta wkładka regionalna, przewidziana przez ten projekt.

Wspólnym tematem wszystkich zamieszczonych tutaj tekstów nieprzypadkowo jest „tradycja”. Właściwie dopiero na dobre od kilkunastu lat mieszkańcy gminy odkrywają różnorodne wydarzenia, sięgając po inspiracje swoich działań niekiedy aż średniowiecza. W kalendarzu gminnych imprez (który niestety się nie ukazuje) pojawia się coraz więcej cyklicznych przedsięwzięć.

W kultywowaniu tradycji starają się pomagać m.in. trzy największe regionalne organizacje: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Polskie Bractwo Kopaczy Złota oraz Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych. Dzięki nim można poszukiwać informacji o przeszłości gminy, jej współczesnych atrakcjach czy innych walorach turystycznych w wielu już publikacjach (tutaj produkuje TMZZ), wziąć udział w mistrzostwach w ptakaniu złota (PBKZ) pamiętając, iż poszukiwanie złota obejmowało przede wszystkim okolice Złotoryi) oraz Dymarkach Kaczawskich (ZTTG).

Można pokusić się o wymienienie tychże tradycji. Zaczynamy od **tradycji jadvizańskich**. Wielokrotnie pisaliśmy na łamach *Echa* o Ścieżce św. Jadwigi, Rajdach Jadvizańskich, wędrówkach Szlakiem Czterech Świątyni pw. św. Jadwigi czy Rajdach łączących Źródła jej imienia, jak również o Odznace Jadvizańskiej. Nie uciekaliśmy od **tradycji górniczych**, przypominając o „miedziowej” i „bazaltowej” przeszłości Leszczyny, Wilkowa czy Wilkołaka.

Już od końca tego roku będziemy mogli zwiedzać skansen w Leszczynie. Wymieniliśmy przed chwilą **tradycje**, odnoszące się m.in. do złote Kopaczki czy Jerzmanic Zdroju. Dodajmy fakt wytyczenia Złotego Szlaku Rowerowego przez miejscowości gminy. Stosunkowo najmłodsze są **tradycje jakubowe**, związane z coraz popularniejszą Drogą św. Jakuba oraz corocznymi pielgrzymkami. W ostatnich latach, a zwłaszcza w roku jubileuszu 800-lecia nadania praw miejskich Złotoryi, przypomnieliśmy **tradycje księżęce**, organizując na rokitnickim wzgórzu zamkowym inscenizację historyczną przy ruinach zamku księcia Henryka Brodatego. Coraz więcej miejsc w przewodnikach poświęca się od pewnego czasu grodziskom w Rzymówce, Wysocku oraz Rokitnicy – gdzie w zakamarkach TMZZ drzemie pomysł wytyczenia Szlaku Grodów. Mówmy więc także o **tradycjach piastowskich**. Byłoby wspaniale, gdyby mieszkańcy gminy kontynuowali **tradycje sportowe, oświatowe** oraz **śpiewackie**, wystarczając przypomnieć choćby o zespołe folklorystycznym w Rokitnicy czy wielu sportowych klubach oraz pionierskich działaniach oświatowych po 1945 r. Cieszy powstanie towarzystw, jak w Jerzmanic-Zdroju czy Rokitnicy, zajmujących się prowadzeniem szkół. Od 2011 r. uda się, być może na stałe, nawiązać do **tradycji napoleońskich** – serdecznie zapraszamy w dniu 27. sierpnia b.r. do Rokitnicy na rekonstrukcję bitwy z 1813 r. o wzgórze kościelne!

Niezmiernie cenne są wszelkie inicjatywy lokalne. Mamy nadzieję, że to w dalszym ciągu ich początek lub kontynuacja a nie koniec. Prosimy starszą generację, aby przekazywało, mimo wszystko, swoją miłość i zaangażowanie w życie najbliższej okolicy kolejnym pokoleniom. Wciąż tyle jest do zrobienia!

Roman Gorzkowski

Czytelnicy odpowiadają

Dziękujemy Pani **Katarzynie Ardelli** za trafną odpowiedź, związaną z czerwcową Historią jednej fotografii. Chodziło oczywiście o nieistniejącą już konstrukcję starej gazowni przy ul. Legnickiej. Zapraszamy do Redakcji po nagrodę książkową!

Kulturalne perełki

Zasłużone i wielokrotnie wymieniane w tej rubryce Wydawnictwo Turystyczne PLAN z Jeleniej Góry przybliżył tym razem walory kulturalne Pogórza i Gór Kaczawskich. Nie zabrakło informacji o Złotoryi, Leszczynie, Rzymówce, Rokitnicy jeśli chodzi o miasto i gminę. Lecz w publikacji znajdzie Czytelnik wiadomości o wielu innych miejscowościach od Mściwojowa i Jawora po Bolków, Wojcieszów, Świerzawę, Zagrodno i Grodziec. Książkę, bogato ilustrowaną, polecamy wszystkim miłośnikom Krainy Wygąsłych Wulkanów!

Roman Gorzkowski

Bitwa o Rokitnicę

Echo: Porozmawiamy o tej słynnej już bitwie.

Cezary: Udało nam się wygrać konkurs na projekt, aby pozyskać pieniądze z Unii w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego. Wspólnie z Pawłem Buniowskim projekt opracowali Roman Gorzkowski (kierownik projektu), Aleksander Borys i ja. Skupiliśmy się na okresie napoleońskim, który jest mało znany, zwłaszcza rok 1813. Projekt ma nazwę **Razem przez 800 lat**. W ramach projektu jest warsztat archeologiczny, historyczny i teatralny. Ja zaangażowałem się w pracę tego ostatniego. Jestem kimś w rodzaju doradcy do spraw militarnych, dbam o stronę graficzną projektu, czyli – jestem od czarnej roboty ☺.

Michał: Jestem dowódcą całego regimentu woltżerów (dwunastu żołnierzy). Musieliśmy sobie zrobić sami karabiny. Pan Czarek przyniósł nam gotowe formy, dostaliśmy farby i pędzle, którymi pomalowaliśmy te karabiny. Była kupa śmiechu przy tym, można było pogadać ze sobą.

Echo: Macie mundur? **Michał:** Wszyscy mamy mundury, uszyła je nam nasza pani krawcowa.

Agnieszka: Jestem krawcową w tym projekcie, a zarazem jego kierownikiem, mieszkam w Lubiatowie. Odnalazł mnie pan Czarek i wkręcił w całą zabawę. Na początku byłam w szoku, gdy zobaczyłam, co trzeba uszyć. A teraz nie żałuję.

Cezary: Młodzież będzie grać rolę żołnierzy formacji, w której skład wchodził głównie Irlandczyk, stąd takie kolory mundurów.

Agnieszka: Projekt mundurów musiałam zrobić sama na podstawie starej ryciny, którą dostarczył mi pan Czarek. Działamy od kwietnia, to już cztery miesiące. Uszycie takiego stroju wraz z wykonaniem wykroju pochłania dużo czasu. Robię to etapami. Najpierw zrobiłam wykroje, poszywałam - i do pierwszej przymiarki. Mam do uszycia 12 takich strojów, ale jeszcze nie wszystkie

stroje są gotowe. Zobowiązałam się, że do końca lipca wszystko będzie ukończone.

Echo: Każdy ma własny mundur? **Agnieszka:** Tak, trzeba było znać wymiary każdej osoby, dlatego pierwsza przymiarka była bardzo ważna. Nie mieliśmy dużego budżetu, dlatego trzeba było wymyślić coś takiego, żeby dobrze wyglądało i było tanie. Mam nadzieję, że w efekcie końcowym moja praca się spodoba.

Ewelina: Jak pierwszy raz przymierzałam strój, byłam zaskoczona, ale nie przeszkadzało mi, że to jest mundur męski.

Michał: Mam 17 lat, do wojska się nie wybieram, więc na pewno munduru nie założę. Przymiarka mundurów była dla mnie nowym doświadczeniem. Do tego jeszcze karabin i taka wielka czapka!

Echo: W tworzeniu tej czapki ja miałam swój niewielki udział, bo pomagałam załatwiać Cezaremu teksturę w Nowej Ziemi.

Cezary: To jest czako!

Agnieszka: Cały kształt czako zrobił pan Czarek, to był w całości jego pomysł. Do mnie należy wykańczanie czapki tkaninami. Obszywam, oklejam, wszystkie chwytły dozwolone ☺. Ale nie to było najtrudniejsze, lecz sam mundur. Ma mnóstwo elementów.

Stanisław: Jestem rad-



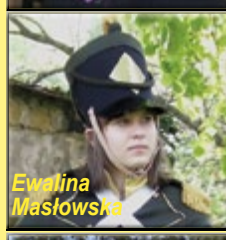
Cezary Skala



Michał Arjan



Agnieszka Brzymowska



Ewelina Maślowska



Stanisław Piątek

nym Gminy Złotoryja, mieszkam w Rokitnicy. Otrzymałem propozycję od pana Czarka, żeby uczestniczyć w projekcie. Chętnie się zgodziłem. Pomagałem przy porządkowaniu muru zabytkowego przy kościele w Rokitnicy.

Cezary: Mur jest bardzo ważny, bo przy nim będzie się rozgrywać akcja widowiska. Pan Stanisław bardzo się zaangażował, za własne pieniądze kupił cement i zebrał ekipę remontową, z którą potem musiał się sam rozliczyć. Cała akcja trwała tylko tydzień.

Echo: W jaki sposób zachęcano was do wzięcia udziału w projekcie?

Michał: Pewnego razu spotkałem pana Czarka, który opowiedział mi o projekcie. Zapytał, czy zechciałbym wziąć w tym udział. Zgodziłem się. Potem zorganizował grupę, która regularnie się spotyka. Umawiamy się na spotkania telefonicznie albo mailami.

Łukasz: U nas w Brenniku nauczyciele w szkole przedstawiali założenia projektu i pytali nas, czy zechcemy wziąć w tym udział. Oczywiście obiecywali za to dobre oceny. Przecież musi być jakaś zachęta, prawda? Trochę się namyśliłem, potem poszedłem



na zebranie i się zgodziłem.

Magda: U nas w Rokitnicy były organizowane zebrania w szkole. Ja poszłam dlatego, że to było na ostatniej lekcji ☺. Właściwie to tylko dzięki obecnej tu Ance skusiłam się na udział w projekcie. Na początku mnie zaciekało, ale nie byłam zbyt chętna. Dopiero jak zobaczyłam cały plan bitwy i scenariusz imprezy, to się zdecydowałam. Spodobało mi się.

Echo: Stacasz pojedynki z chłopakami?

Magda: Jak jesteśmy w szereg, to się przepychamy i z chłopakami, i z dziewczynami, to wszystko jedno. Mamy różne miejsca w szereg, bo zawsze kogoś brakuje.

Echo: Minęły już cztery miesiące waszej wspólnej pracy. Nadal wam się podoba?

Łukasz: Fajnie jest. To sposób na spędzenie wolnego czasu raz w tygodniu. Jest ciekawie. Można się zebrać, dowiedzieć się, jak to było kiedyś. Z musztrą były najpierw problemy, ale potem było ok. Nasz generał - Michał się rozkręcił ☺.

Michał: Bo pan Czarek wyjaśnił mi, jak ma wyglą-

dać musztra i na czym to polega.

Cezary: Dzięki temu, że pamiętam to z wojska. Był problem z trzymaniem karabinu przez naszych żołnierzy. Jeżeli coś jest robione równo i na komendę, wtedy dobrze się prezentuje. A ludzie muszą być ze sobą zgrani. W naszym warsztacie teatralnym musztra jest mocno uproszczona.

Magda: Do musztry można się przyzwyczaić. Na początku było trudno, która miała miejsce na wzgórzu kościelnym 17 sierpnia 1813 roku. My będziemy grać rolę żołnierzy 3 Pułku Cudzoziemskiego Irlandzkiego wojsk napoleońskich.

Michał: Jeszcze musimy zrobić próbę generalną z naszym przeciwnikiem. Przyjedzie grupa ze Świdnicy 26 sierpnia, w piątek, dzień przed inscenizacją. W jej skład wchodzi starsze osoby, nie młodzież. Profesjonaliści ☺.

Magda: Czasem podczas prób mówimy, co można zmienić w scenariuszu, co nie pasuje. Pan Czarek najpierw słucha, potem myśli, ale w końcu uwzględni nasze uwagi.

Echo: Ciekawa jestem, jak na wasz udział w projekcie reagują wasi koledzy, rodziny.

Michał: Moja szkoła to I LO w Legnicy. Nie wspominałem o tym kolegom, ale na samą bitwę zaprosiłem kilka koleżanek. Natomiast mama zaakceptowała moją decyzję od razu, nawet mnie przywozi tutaj na spotkania, bo ja mieszkam w Wysocku. Przypomina mi o terminach spotkań, żeby nie opuszczać prób.

Magda: W mojej klasie dziewczyny wiedzą, co robię w Rokitnicy. A gdy pani wystawiała oceny na koniec roku, to pytała, kto bierze udział w projekcie w Rokitnicy.

Cezary: Scenariusz bitwy nawiązuje do legendy. Otóż w czasie tych wydarzeń karcmarz z Rokitnicy niejaki Schroeter urosł do roli przywódcy. Zebrał kilku bogatych włóścian z okolicznych wsi, pozbił ich kosztowności, jakie zdolali uchronić przed wojskami napoleońskimi i pruskimi, które grabiły i płądowały jednakowo, po czym schowali skarby do skrzyni i schowali gdzieś w rokitnickim kościele. Wydawało im się, że jest to najbezpieczniejsze miejsce. Skrzynia ze skarbami prawdopodobnie nie została odnaleziona przez wrogów i może po dziś dzień jest ukryta?

Paweł: Mam grać rolę tego karcmarza. Strojów jeszcze nie mam, muszę go sobie sam zrobić. Mama mi obiecała, że pomoże. Przedtem poszukam w Internecie rysunków strojów karcmarzy z tego okresu. Moja rola polega na tym, że będę niósł skrzynię ze skarbami do kościoła wraz z pomocnikiem. To moja pierwsza rola teatralna w życiu, ale myślę, że sobie poradzę. Fajnie jest.

Krzysiek: Ja będę pomocnikiem karcmarza. Razem będziemy nieść skrzynię do kościoła. Na komendę pana Czarka przejdziemy spod mostu do kościoła, a gdy będziemy wracać, to mamy zawołać wojska pruskie. Nie, nie będziemy nic mówić, tylko mamy dawać znaki.

Paweł: O tych wydarzeniach historycznych nic do tej pory nie wiedziałem, w szkole też się o tym nie uczyłem.

Krzysian: Jestem drugim pomocnikiem. Karcmarz będzie szedł obok, a my we dwóch będziemy nieść skrzynię ze skarbami. Pewnego dnia przyszli do mnie do domu Krzysiek i Paweł, zachęcając mnie do przyjęcia na próbę. Namawiali mnie, bo nie chciałem się zgodzić od razu.

Paweł: Pamiętasz, jak było? Powiedziałem „Chodź, Krzysian, będzie fajna zabawa”.

Krzysian: No i wtedy ja się zgodziłem ☺.

Paweł: Dostaliśmy zaświadczenia o naszym udziale w projekcie, ale w mojej szkole nikt nie wziął tego pod uwagę podczas wystawiania ocen.

Magda: Ja dostałam jako cząstkową ocenę zóstkę z geografii i dzięki temu wysłała mi czwórka na koniec roku.

Anka: Mnie się podoba na tym warsztacie teatralnym, jest wesoło.

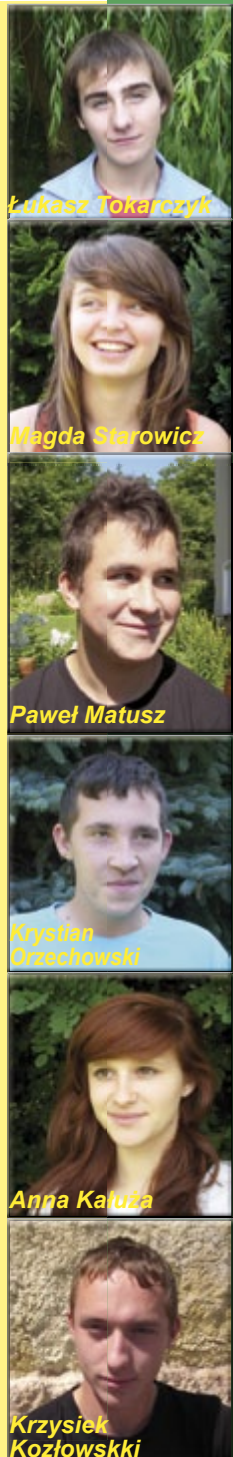
Paweł: Poznaliśmy historię naszego regionu, poznałem fajne koleżanki i kolegów.

Stanisław: Pani wójt Maria Leśna bardzo życzliwie podchodzi do projektu, wspiera nas moralnie i materialnie. To bardzo ważne wydarzenie kulturalno – historyczne dla naszej wsi. Wspólna praca przy projekcie zintegrowała mieszkańców i wzbudziła zainteresowanie historią Rokitnicy.

Echo: Nie powiedzieliście jeszcze, kto tę bitwę wygrywa.

Cezary: My przegrywamy i sromotnie uciekamy z pola bitwy ☺. Fotoreportaż z przebiegu prac wszystkich warsztatów projektu można obejrzeć pod adresem: www.zlotoryja.com.pl Proszę odszukać zielony przycisk – Program-800lat.

rozmawiała Agnieszka Młynczak zdjęcia Cezary Skala



Każdy naród z dumą wspomina waleczność swoich armii i miejsca ich zwycięstw. Polacy mają w sercach takie nazwy jak Grunwald, Wiedeń Westerplatte i wiele, wiele innych - nie zawsze wygranych bitew.

Podobnie Francuzi – pamięć o swoich żołnierzach walczących na stokach Wilkołaka upamiętniali nawet 100 lat po bitwie. Na początku XX wieku ukazała się seria pocztówek, które upamiętniały napoleońskie regimenty walczące w tym rejonie w kampanii 1813 roku. Regimenty do jednostka wojskowa odpowiadająca pułkowi, tak więc liczyła około 1000 żołnierzy (mogło być ich więcej).



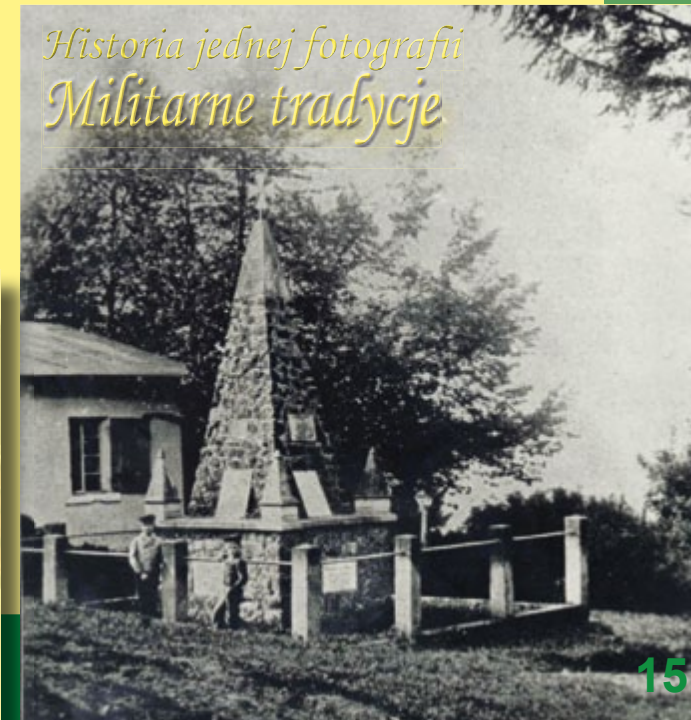
Jakże to musiała być ważna dla Francuzów bitwa, skoro nazwę miejscowości – Goldberg – upamiętniono złotymi literami na sztandarach regimentów. W zbiorach kolekcjonerów znajdują się cztery pocztówki, które niewątpliwie wydane zostały z inicjatywy 146, 148 i 150 regimentu piechoty (regimentu 146 dotyczą dwie różne pocztówki). Biorąc pod uwagę, że w bitwie o Wilczą Górę i Złotoryję walczyło co najmniej kilkanaście francuskich formacji i to, że każdy regiment miał swoje wydawnictwo, nasuwa się wniosek, że złotoryjscy kolekcjonerzy pocztówek mają poważne braki....

Wydawnictwa są francuskie, tak więc mile widziana byłaby osoba potrafiąca przetłumaczyć tekst z pocztówek.

Piotr Klimaszewski

Podpowiadamy, że ta stara fotografia dotyczy również tradycji pielęgnowanych na terenie gminy Złotoryja oraz że ów pomnik już nie istnieje. Prosimy o odpowiedź, gdzie się on znajdował a także jakiego wydarzenia dotyczył.

Roman Gorzkowski



Projekt finansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl,
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212



G S P O N S O R O R Ó W
A L E S R O R I A W



grysy bazaltowe



KOSD
WILKÓW

Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie



Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl



NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA